

30492

# JEDNODNIÓWKA

z okazji obchodu 25-lecia walki  
o szkołę polską



NAKŁADEM KOMITETU OBCHODU

**LUBLIN - WRZESIEŃ - 1930**

DRUKARNIA WYD. „GŁOS LUBELSKI” — LUBLIN







# JEDNODNIÓWKA

## z okazji obchodu 25-lecia walki o szkołę polską

### ZAMIAST WSTĘPU.

#### WITAJCIE KOCHANI!

Oto spotykamy się znów po latach w sporej gromadce, aby raz jeszcze we wspomnieniach i wśród podniosłego nastroju odtworzyć chwile niezapomniane.

Rzucił nas los w różne strony; kazał nam różną dolę przeżywać; prowadził różnemi drogami ideowemi — a przecież nie wygnał nam z duszy wspomnień o czynie, dokonanym wspólnie w młodości.

Oto jedni z Was! Jakże dawno niewidziani. Tak dawno, że prawie zacierają się rysy Wasze. Ale wystarczy umieścić postacie Wasze w dawnym otoczeniu, a nabierają barw, kształtów i życia, jakimi tętniły w czasach owych przeminionych. — Witajcie!

Oto inni! Codzień się prawie spotykamy, po ulicach przechodząc tych samych, co i ongiś. Spowszednieliśmy sobie; ukłon, często obojętny, wystarcza nam przy powitaniu; dziś „pan dyrektor”, „naczelnik”, „profesor”, lub zgoła zwykły wyrobnik życia, mało sobie mają do powiedzenia. Ale wspomnieć tylko naszą sprawę dawną, wspólną a ożywią się zaraz twarze, oczy jaśniej zaświecą i życzliwiej spojrzą na kolegę. A więc: na tym wspólnym gruncie — Witajcie!

A gdzież reszta? Czy tylko nie przybyli zatrzymani obowiązkami lub innemi niesprzyjającymi okolicznościami. Nietylko! Śpi już wielu z Niech snem nieprzespanym i nie ujrzymy już więcej ich twarzy, ani głosu nie usłyszymy. Cześć Im i pokój!

Zato my, żywi, wspólnie tu zebrani, odnowimy w pamięci przebieg i szczegóły naszego, zaiste nie „według sił” dokonanego czynu.

Chcąc choć w części temu dopomóc dajemy dziś garść wspomnień, zebranych w naszej „Jednodniówce”. Uboga ona ilościowo i zewnętrznie, ale przyjmijcie ją sercem tak jak myśmy ją sercem pisali.

A może zauważycie, że wspomnienia są nie- zbyt wierne: że nie na ementarz uciekano, lecz na Wieniawę; że nie na moście coś się stało, lecz na Zamojskiej, że nie kolega A. lecz B. czegoś dokonał — nie to koledzy! To tylko czas-szyderca rysy pozacierał niektóre, ale istota została niezmienna. Prawda?

Zato zostały uchwycone różne momenty i utrwalone wysiłki oraz imiona. Nie gniewajcie się więc, Koledzy za tak nikły i nieudolny obraz lecz uzupełnijcie go i poprawcie.

A teraz uśmiechnijcie się uśmiechem rzeźnym, w przeszłość zwróconym, bo oto wchodzimy na pole naszych walk niepomiarnych — w mury Gimnazjum.

Oto drzwi! Pamiętacie szturm i zdobycie tej naszej Bastylji? Dziś one już całe, dawno naprawione. Wejźmy przez nie. Oto przed vestibulem drugie drzwi oszklone, na korytarz szkolny prowadzące. Patrzenie, Koledzy! tuż za nimi na lewo, gdzie dziś widzimy napis: „obcym wstęp wzbroniony”. Pamiętacie? Tam za temi drzwiami odbywał się nasz wiec strejkowy. Tu „Kana” zapisywał, kto w nim udział bierze. Idziemy dalej. Spójrzycie, Koledzy pod nogi: to stary, dziś podarty chodnik z linoleum. Ten sam! A dalej na prawo. Pamiętacie „kołony” (kolumny)? Stało się pod nimi nieraz za karę na pokaz i pośmiewiska tłumy, ale najczęściej za mowę polską.

A teraz skrucimy w lewo i po schodach, chodźmy na górę do sali. To ta sama sala, Koledzy! Ale patrzcie dobrze. Gdzież są portrety cara i carowej? Wisiały naprzeciwko wejścia, a nad nimi znajdował się orzeł dwugłowy. Dziś na ich miejscu zobaczycie portrety naszych najwyższych dostojników państwowych. Spójrzycie wyżej! — oto godło państwowe, nasz Orzeł Biały. Jeszcze wyżej oczy podnieście! widzicie napis? Po łacinie przecież nie zapomnieliście, przeczytajcie więc:

#### Salus Republicae Suprema lex esto.

Czy wiecie, co to wszystko znaczy? Oto jesteśmy w murach szkoły polskiej, o którą walczyliśmy, gdy obca się w nich mieściła. I znaczy to jeszcze, że **Salus Reipublicae** jest szkoły tej najważniejszym hasłem.

A więc, Koledzy, wyrażmy życzenie: Niech szkoła polska, dla której cierpieliśmy, żyje i niech się pomyślnie rozwija!

Zygmunt Tolwiński.

Wyjątek z artykułu ks. Ad. Pieńkowskiego byłego prof. gimnazjum rosyjs. w Lublinie p. t.

### Tło lokalne bezrobocia młodzieży gimnazjalnej w Lublinie roku 1905.

Przed długi szereg lat — ku pohańbieniu Lublina — istniał w prastarym grodzie Piastów i Jagiellonów prowokacyjny zwyczaj śpiewania *po rosyjsku* w naszej katedrze katolickiej hymnu carskiego „Boże, caria chrań!”... Śpiewali ten hymn narodowy rosyjski podczas nabożeństw



galowych uczniowie Polacy z miejscowego gimnazjum. Wybierał ich do tego celu pomocnik gospodarzy klasowych, będący zarazem nauczycielem śpiewu cerkiewnego. Nazywał się on Zinczenko, był najzauważalszym szpiclem dyrektora Siengalewicza, najgorliwszym wykonawcą jego rozkazów. Budził taką odrazę w młodych duszach uczniowskich, że nikt z nas nie nazywał go nigdy Zinczenką, lecz zawsze „Buldogiem”.

Kiedy wypadła uroczysta galówka, sam inspektor (np. Spieszkow, Newskij, Tołubiejew i t. d.) czuwał w katedrze nad tem, aby pod koniec nabożeństwa uczniowie-śpiewacy udali się na chór. Tam przy akompaniamencie organów splywały na kościół wrogie nam słowa: „Car prawosławny! Carstwuj na sławu nam, carstwuj na strach wragam!”...

Takie prowokacyjne znęcania się nad uczuciami religijnymi i narodowymi Polaków *było udziałem jedynie Lublina*, unikatem w całej Kongresówce. Co ciekawsze, nawet sfery rządowe poczytywały to za „curiosum”, nie mającem równego na całym obszarze wielkiej monarchji rosyjskiej. Słynny Pobiedonoscew, oberprokurator najwyższego synodu, stojącego na czele prawosławia w całej Rosji, chciał podobno nakazać z urzędu śpiewanie „Boże caria chrani” we wszystkich cerkwiach prawosławnych. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że hymn narodowy rosyjski jest buńczuczną manifestacją, nie zaś korną modlitwą. Dlatego nie odważył się — „za przykładem katedry katolickiej w Lublinie” — profanować świątyni własnego wyznania.

Ku ubolewaniu tedy rusyfikatorów lubelskich ich sobór na Placu Litewskim (teraz już zniesiony) nie mógł — na polu manifestacyj wiernopoddańczych w „carskiej dień” — wytrzymać konkurencji z naszą katedrą. Dopiero po ukończeniu nabożeństwa cerkiewnego, kiedy dygnitarze prawosławni, cywilni i wojskowi, opuścili już mury swego soboru, orkiestra wojskowa na plac przed soborem wykonywała hymn narodowy rosyjski.

Usunąć krzyczące nadużycie galówkowe z murów naszej katedry — nie było rzeczą łatwą. Mogło to nastąpić wyłącznie drogą protestu ze strony samych uczni — Polaków, bezprawnie zmuszonych do śpiewania „Boże, caria chrani”. Dopóki jednak w Warszawie rządził krajem Hurko i Apuchtin, a w Lublinie stał na czele gimnazjum dyrektor Siengalewicz, dopóty niepodobna było nieszczęsnym śpiewakom myśleć o zrzuceniu z siebie jarzma haniebnego przymusu. Próby podejmowane w tym kierunku (np., jedni ze śpiewaków nie przychodzili, udając chorobę inni wytwarzali umyślną kakofonję, by zohydzić śpiewanie hymnu), nie doprowadziły do celu.

Dopiero, gdy Warszawa pozbyła się Hurki i Apuchtina, a Lublin — Siengalewicza, „nadworni śpiewacy” (tak ich nazywali koledzy) postanowili zastrejkować na dobre.

Zamiar spiskowców dostał się jakąś drogą do wiadomości szerszych kół społeczeństwa polskiego w Lublinie. Na galówkę najbliższą wybrały się do katedry nawet osoby, nieobowiązane „z urzędu” do uczestniczenia w modłach za cara

i jego rodzinę. Chciały być świadkami nieobecności „buntowników” i bezradnego zakłopotania inspektora, żandarmów, policji...

Niestety, wśród inteligencji lubelskiej nie brakowało wtedy „ugodowców”, zwolenników tak zwanej „polityki realnej”. Byli oni materialnie niezależni od rządu i nie potrzebowali obawiać się dymisji. A jednak posiadali mniej odwagi obywatelskiej, niż niejeden urzędnik-Polak, stałe — pomimo zakazu gubernatora — używający języka polskiego w rozmowie z interesantami.

Owych „ugodowców” przeraziła sama myśl: „Co powie Petersburg, jeśli nieroztropni malcy zechcą podczas najbliższej galówki wprowadzić w czyn swój zamiar zuchwały”?... Aby odwrócić od naszej Bystrzycy ewentualne „gromy z nad Newy”, wyłonili z pośród siebie „delegację rodzicielską” i włożyli na nią obowiązek uprzedzenia księdza Franciszka Jaczewskiego biskupa lubelskiego o „niebezpieczeństwie” grożącym katedrze.

W przeddzień galówki delegacja istotnie zjawiała się w pałacu biskupim i prosiła usilnie, aby biskup — „póki czas” użył pośrednictwa ks. prefekta Szyszkowskiego do powstrzymania „buntowników” od „szalonego” zamiaru.

Usłyszawszy to groteskowe żądanie z ust ludzi, uchodzących za dobrych Polaków i gorliwych katolików, ks. Jaczewski oniemiał ze zdumienia. Wymowne mileżenie dostojnika kościoła zdetonowało członków delegacji, rzekomo rodzicielskiej. Odwołali się więc do „względów na dobro publiczne”. Wystąpili z szeregiem motywów. Biskup przerwał ich długie wywody krótkim oświadczeniem, iż śpiew „Boże, caria chrani” — nie jest wyznaniem wiary katolickiej, w sprawy zaś prawosławia episkopatowi polskiemu pod żadnym pozorem nie wolno się wtrącać.

Nazajutrz odbyło się w kościele katedralnym nabożeństwo galowe ze zwykłym ceremonjałem, ale po skończeniu modłów, [nakazanych za dom panujący, świątynię zaległa grobowa cisza.]

Triumf dawnych „śpiewaków nadwornych” był zupełny, ich zwycięstwo — trwałe, przykład — zaraźliwy. Przekonali ogół kolegów gimnazjalnych i swych rodziców, iż mieli słuszność Rzymianie, kiedy zapewniali:

„Audaces fortuna iuvat”!...

Ks. A. Pieńkowski.

\*) *Uwaga Red.* Uczniowie zgromadzeni na chórze wypowiedzieli posłuszeństwo dyrygentowi Nazarewiczowi („Kana”), który z konieczności odśpiewał pierwszą zwrotkę solo.

## Z życia młodzieży gimnazjum państw. rosyjskiego w Lublinie.

WSPOMNIENIA Z ROKU 1905.

Nie piszę feljetonu zaprawionego fantazją, garstka to tylko wspomnień, szczerzy rzut uczuć, przeżytych, a niezatartymi zgłoskami wyrytych na „płyce” mózgowej w latach pacholectwa, w porze



snów burzliwych i górnych, wcielonych z całą tężyzną w życie.

W roku 1901 zawiązywały się tajne organizacje młodzieży. Przypominam sobie, jakieśmy w najgłębszej tajemnicy gromadzili się u p.p. Giełżyńskich, po 6, 8 zasiadaliśmy wokół stołu, aby z przejęciem odczytywać „Pana Tadeusza”. Do dziś pamiętam właśnie te wyjątki, których wtedy uczyliśmy się na pamięć. Potem szły „Dziady” cz. III. Zarazem „kułiśmy” historię Polski. „24 obrazki”, następnie „Historja Polski” Lewickiego uświadamiały, kształciły w nas uczucia patriotyczne. Pisywaliśmy nawet dyktanda. Język polski w gimnazjum był tak nędznym kopciuszkiem, że śmiech bierze wspominać o tych wykładach. Tłómaczenia z rosyjskiego na polski z odpowiednich cenzuralnych wypisów, i tak w kółko, aż do obrzydzenia.

☉ jakże musiał się czuć ś. p. prof. Nowicki, przemawiając do nas po rosyjsku!? Właściwie to nie był nawet rosyjski, a raczej humorystyczne skojarzenie języka polskiego z rosyjskim. Czujny na odgłosy na korytarzu, łamał nieraz zdanie polskie, by je zakończyć po rosyjsku ze skandalicznym do tego akcentem. W chwili zdenerwowania, a to zdarzało się b. często, beształ nas po polsku, naczałstwem zaś straszyl po rosyjsku. Awanturą z łada przyczyniła się lekcja, a kończyła niesmakiem. Nie dziwię się, że zdenerwowany, wyczerpany ciągłym lękiem, otoczony zgrają moskali, czuł się ten zacny, subtelny, inteligentny człowiek, jak w piekle, a nas traktował, jak djabełta.

Nie mieliśmy ostoji ducha narodowego w Polakach, uczących w gimnazjum. Prof. ś. p. Łopaciński, „Hirusiem” zwany, znakomicie nas lajał. Śmiać mi się chce do rozpuku, gdy przypominę sobie te „podniosłe” sceny jego oburzenia. Eustachiewicz. O nim mogę tylko powiedzieć jedno. „Ściągaliśmy” na potęgę, z góry wiedząc, o co będziemy pytani. Uczył łaciny. Zawsze jednaki, monotony, nie istniał dla nas ani jako człowiek, ani tym bardziej Polak. I też godny miał pseudonim. Przez wstydlivość muszę zachować go przy sobie. A moskale. Wśród nich były jednostki o nieprzeciętnej indywidualności „Kozak” — Nieczajew, Jeleniewski.

Sretieński — doskonały pedagog, chociaż w tym kierunku przewyższał go „Kozak”, gnębiciel rodu sztubackiego, Czichanow — matematyk o stoickim spokoju. Były między nimi wstrętne kreatury, jak „pies Zinczenko”, nauczyciel śpiewu i szpieg w jednej osobie. Byli między nimi i tacy, którzy lubili młodzież polską, np. prof. Kurbas. Mógłbym bez końca snuć sylwetki swoich pedagogów, ale czas już podążyć ku wypadkom roku 1905.

„O roku ów, kto cię nie widział w naszym kraju”. Znikł dyr. Siengalewicz, zmieniło się kilku innych dyrektorów, którzy, jako cień, przeszli w niepamięć, zasiadł na tronie Szimanowski, godny następcę sławnego w kraju i zagranicą Siengalewicza. Łysy, jak kolano, o myszkujących oczkach, zdradliwie uśmiechniętem obliczu, gdy chciał wyłudzić zeznania, — boa constrictor na lekcji, oszalałmający swym głosem i groźnym wyrazem twarzy, zmienny jak kameleon, zimny lub lisowato-słodki, jak wyżej wspomniany Jeleniewski. Nienawidzili go wszyscy, poczynając od jego własnego syna. Zgroza i obrzydzenie dławilo sztubaka, gdy się z nim zetknął. Znowu odżył zapomniany system policyjno-szpiegow-

ski Siengalewicza. Nie daliśmy mu jednak triumfować. Organizacje młodzieży wzrosły na siłę. Organizowali się nie tylko Polacy, lecz Moskale. Obaj Krylenkowie stali na czele tych ostatnich. Wkradło się, coprawda, zabarwienie partyjne. Mieliśmy już 2 obozy: P. P. S. i narodowy, jednak punktem zasadniczym obu była niepodległość.

O ile sobie przypominam, antagonizmy nie przejawiały się zbyt jaskrawo. Zgodnie, z jednakiem uczuciem maszerowaliśmy pod jednym sztandarem, a pragnęliśmy jednego: wojny z Moskwą. To też często każdą wolną chwilę spędzaliśmy poza miastem w „Zimnych dołach” lub „Czechowskich Górkach”, ćwicząc się w mustrze, wojując drewnianymi szablami lub kulami z gliny. Budowaliśmy fortece w „Czechowskich Górkach”, uzbrajaliśmy je pociskami z gliny, znoszonej w bluzach. A był nawet dowódca i dobosz, a właściwie trębacz z dziecinną trąbką. Nie zapomnę nigdy swojego dowódcy, szczególnie w momencie, gdy nieprzyjacielski granat trafił go w same usta. A on stał, stał, w determinacji wielkiej, aż wreszcie wypluł niesmaczną zawartość swojej buzi. Nazywał się Fopp Tadeusz.

Wybaczcie, że odbiegam od zasadniczego tematu, ale wspomnienia snują się z kłębka, a jedno bierze za ręce drugie i wprowadza na utrapienie wasze, że trudno mi się przed niemi opędzić, boć przecie są one dla mnie tak miłe, kochane, z niemi wiążą się najjaśniejsze chwile mojego dzieciństwa.

W 2-iej klasie przecie dopiero byłem, gdym pod osłoną sztandaru z orłem białym, z pieśnią na ustach z innymi, drogimi koleżkami — czwórkami, hardo, dumnie kroczył po drogach wioskowych, a wreszcie przez pola, wawozy, przed siebie, hen ku swobodzie, hen... Jak teraz dążę do tych czasów minionych, tak wtedy parłem całą pierś naprzód, byle przedzej, byle dzielniej. Wtedy uczyłem się odczuwać urok ziemi naszej, nie z książek, lecz z plecakiem wśród lasów i pól, nieraz o głodzie, często o chłodzie. Było jednak „byczo”.

Było nas 4, walimy do Kazimierza, Puław, Natęczowa, a był czas, że aż do Ojcowa z kijeczkami w rękę. Było nas 80, rozwijaliśmy tyraljerkę przez pola, ugory, zwieraliśmy się w bitwie na pięści i kije, a brataliśmy się przy wodzie, kwaśnem mleku, chlebie no i wycoczynku. A jakie panowało koleżeństwo, jaka przyjaźń. Starsi dzielili chleb, a młodszy cierpliwie — czekali na swoją kolej, będąc pewni, że ich nie nabiorą. „Mańka” ustał w drodze 6-cioklm. przez głębokie zasy śnieżne, bierzemy go na ręce i dzwigamy. Cudne to były czasy. Niech zazdroszą ci, którzy takich nie pamiętają.

Hola — wyobraźni. Teraz już przyrzekam, że streszczę się wyłącznie przy zapowiedzianym wiekopnym roku piątym. Był on kwiatem wszystkich poprzednich naszych poczynań, był zarazem problemem naszej siły, naszego ducha żywotnym wyrazem.

Zaczęło się. Niejaki prof. matematyki, Bodarewski, wywołuje ucznia do tablicy i daje pytanie. Uczeń przygotowany, o tem wiedzą wszyscy, gdyż sam wyjaśniał kolegom twierdzenie w czasie pauzy, płacze się jednak pod marsowym wzrokiem „pedagoga”, zostaje bez apelacji odesłany na miejsce. „Pała”. Nie dano mu się nawet namyśleć. Na drugi dzień znów zostaje wyrwany do algebry, otrzymuje krótki przykład algebraiczny, rozwiązuje. Bodarewski nie jest kontent z rozwiązania, pyta z miejsca jedne-



go, drugiego, piątego ucznia, ci dają odpowiedź niezgodną z odpowiedzią kolegi przy tablicy. Wtedy Bodarewski „obłokotiwsiż”, t. j. podparłszy się niebale ręką o katedrę, orzeka, że pierwszy rozwiązał dobrze, ponieważ zaś wyczuwało się wahanie, dostanie dwójkę z plusem, pozostali zaś tylko po dwójce. W klasie szmer, wzburzenie na postępowanie p. Bodarewskiego. Poskarżyła się cała klasa swemu wychowawcy p. inspektorowi Michalskiemu. Dobry, zacny człowieczyna, interpeluje. Bodarewski wpada na następną lekcję do klasy ze straszną awanturą. Wścikły, ciska dziennikiem o katedrę, klnie, jednym słowem furjat. Włosy, które zwykle opadały mu z fantazją na czoło, zwichrzone, dostrajają się do nastroju właściciela. Rzuca pytanie, kto się na niego skarżył. Głos z za sceny (a był to serdeczny kolega Cukier) odpowiada: „Wszyscy”. Atak dobiega zenitu. Rzuca dziennikiem i wyskakuje z klasy, gdyż on z taką „swołoczju” pracować nie będzie.

Uciecha w Izraelu. Nareszcie tanim kosztem pozbyliśmy się wroga. Uciecha jednak zbyt przykrótka. Za chwilę wchodzi dyrek. Szimanowski. Z policyjnym, miłym, wprost czułym wyrazem twarzy; z gracją niedbałą trzyma w śliskich paluszkach notes i ołówceczek, podchodząc do każdego z uczniów, zapytuje melodyjnym głosikiem, zarazem świdrując wzrokiem: co masz, gołubczyku, do prof. Bodarewskiego. Koledzy dają wykrętne odpowiedzi, z wyjątkiem 5 bohaterów, tak bohaterów, mówię szczerze, bez przesady, którzy wprost z mostu pała nasze względem prof. zarzuty. Byli to Siwecki. Skrzetuski, Uzdowski, nazwisk 2 pozostałych zapomniałem. Cichutko, grzecznie usuwa się dyrektor z widowni. W tym dniu biją go kaloszami, czy czemś podobnym w internacie. Sesja rady pedagogicznej. Czujemy, że wyleją z 10. Do tego dopuścić nie można. Brać gromadzi się w wielkiej ilości w „pewnem miejscu”. Wiec. Płomienne krótkie mowy. Pod drzwiami czatuje belfer „Kanaar”-Nazarewicz, aby wychodzących zapisać. Notes ma przygotowany. Wtem drzwi rozwierają się z impetem, „Kanaar” odskakuje w porę w bok, chyba gubi ze wzruszenia notes. Słychać tylko głos inspektora „Nie dusić dzieci, nie dusić dzieci”. Walimy gęstą falą do domu na drugie na śniadanie. Wracamy do szkoły i, jak gdyby nic nie zaszło, lekcje idę zwykłym trybem. Nic się nie mówi o jakichkolwiek represjach, karach, wydalaniu. Oceniamy jednak to milczenie nieco z innej strony. Praca w komitetach uczniowskich wre. Pomimo pozorowego z obu stron spokoju, czuć wielką burzę. Powietrze przesycone parą, duszno, choć, zda się, niebo całkiem jasne. Nagle przeniesiliśmy się w kraj zwrotnikowy. Organizacje dają rozkaz: Na dzwonek — wszyscy do rekreacyjnej sali. I tak się stało. Nie zabrakło nikogo.

W naszej klasie, a była to „morowa” klasa, hasło do wyjścia podali weterani z ostatnich ławek. Wystarczyło jedno donośne uderzenie książek o pulpity, aby w skupieniu i ciszy wszyscy powstali i zgodnie wyszli. Gorzej było w wyższych klasach. Oto obrazek: „Idiosz Wołonia”? — „Nie idu”. Pytanie powtarza się parokrotnie, a potem suche klaśnięcie... w policzek. I Wołodia wyszedł. Na popowskiego syna podziałało. Do zebranych na sali przychodzi delegat dyrektora. Głos tajemniczy (ś. p. Jabłoński) oświadcza mu, że życzymy sobie, aby z Warszawy przybył kurator okręgu. Następnie w zupełnej harmonii roz-

chodzimy się do klas, lekcje trwają. Parokrotnie w ciągu kilku dni powtarza się scena defilady na górę, do sali rekreacyjnej i z powrotem. Wszystko bez skutku. Naczelstwo wyższe nas ignoruje, nie przyjedzie, poleca załatwić sprawę dyrektorowi. „Jakżeż mówić dyrektorowi, że nie chcemy dyrektora”, ponoć miał tak wyrazić się Czesław Kiwerski, zaczeponiony w tej sprawie przez dyrektora.

Istotnie wystąpienia nasze mają na celu usunięcie dyr. Szymanowskiego wraz z jego policyjnym systemem, oraz Bodarewskiego. Ten cel jednoczył wszystkich. Praca w tajnych komitetach wre. Na poddaszach — jak w ulu. Pada wreszcie wyraz oczekiwany: strajk. A teraz parę obrazków w dniu rozpoczęcia się strajku. Na sygnał — dzwonek wychodzimy z klas, aby poraz ostatni zebrać się w sali ogólnej. W naszej klasie ma lekcję prof. Łopaciński. Załamuje biedaczysko ręce i wprost błaga, aby pozostać. Przemawia najczulszemi słowy, po polsku. Udaje mu się nawet osłabić nasz rozpęd, grupując po swej stronie kilku żydów, Rosjan, może i Polak jaki zaśląkał się w tej gromadce.

Miałem wtedy jedno przed oczami: czyn; na drobiazgi nie zwracałem uwagi. Ledwie kilku tkwi mi w pamięci z tej biernie oponującej gromadki. Reszta wychodzi, a Łopaciński pozostaje w swej zgryzocie. Kierownicy ruchu uczniowskiego (proklamują strajk i wydają dyspozycje. Mamy wreszcie opuścić szkołę. Niejednemu serce kołace ze wzruszenia. Rycerze o sprawę dla nas tak wielką nie okażą blałości swego oblicza. Nas niesie potężna fala uczuć. Ona to wznosi czoła, wkłada w serce nasze żagiew buntu przeciw więzom tyraństwa i wiedzie w bój na zwycięstwo. Zapatrzeni w dalsze nasze bohaterskie horyzonty, jakie się słały przed nami, porzuciliśmy szkołę. Wrota zatrzęsnięto za nami. I okazało się, że była nas tylko garstka — prometeuszowe dzieci. Nie nęcił nas jednak przykład naszego protoplasty. Runęliśmy z powrotem. Drzwi ustępują, trzeszczą. Inspektor Michalski woła do nas, że każe drzwi otworzyć. Istotnie za chwilę, która wydawała się nam — straceńcom — wiekami, wpadamy do szkoły i rozpoczyna się akt gwałtu. Jak potępieńczy hufiec wścikły, bo zdradzony, uderzamy na klasy. Precz wyrzucamy wszystkich. Słowa popieramy czynem. Nie wystarczą barki prof. Nowickiego, który podiera drzwi klasy od wewnątrz. Kol. A. Nowiński i inni wyważają je z czcigodną osobą profesora. Zaznaczam, że naucz. Rosjanie zachowywali się dość biernie, jawnie przynajmniej nie próbowali kontragitacji: może na rękę im były nasze żądania. Niektórzy nawet nam sprzyjali. Wśród profesorów Polaków sprzyjał nam jedynie ks. Prefekt Pieńkowski, czuliśmy to doskonale. Wreszcie wszyscy opuścili szkołę z hasłem: precz z policyjnym charakterem szkoły, precz z Szimanowskim i Bodarewskim.

A była to cudna pora wiosny. Wszystko dążyło do przejawienia swego życia, wszystko, a w nas przedewszystkiem. I przyszedł dzień wiosenny, posypały się ostatnie płatki śniegu, symbol zimowej niewoli, płatki w postaci blaszek uczniowskich, które niczem śnieg pokryły chodniki Krakowskiego; blaszki w kształcie różeg leciały z czapek naszych na ziemię, w błoto i ginęły, jak śnieg, jak śnieg pod podmuchem wiosennego zewu.

A potem rozpacz rodziców, starszego społeczeństwa wyklinanie, rozprawy uliczne z łamistrejkami,



rewizje, aresztowania, a w końcu „miłe” w murach zamkowych więzienie, w którym znalazł przytulisko szereg kolegów, skazanych administracyjnie za walkę z łamistrejkami. O ile mnie pamięć nie myli, zaszczyt ten spotkał kol. Bucholca, Dziewickiego (starszego), Nowińskiego Adama, Siepietę w pierwszej partji, zaś w drugiej: Uzdowskiego, Dziewickiego Władysława, Skrzetuskiego, Siweckiego. Niestety, więcej nazwisk nie przypominam sobie. Była to atrakcja niebywała dla Lublina: matki, siostry, koledzy, wszystko to prawie obozowało przy więzieniu, dostarczając biednym skazańcom przeróżnych smakołyków, ponoć tak im się dobrze działo, że z nadmiaru energii fikali w swych celach wymyślne koziołki. Dla nich były to igraszki, rodzice zaś terali się w smutku i zgrzyzocie.

Poczucie zwycięstwa nad wrogiem było nam ostoją. Zresztą w dusze nasze wnikał ten wiew, co szedł po całym kraju, a zachybotał nawet tronem carskim. Lud rosyjski żądał swobód, budząc się z wielkiej niemocy. Naród polski również wysuwał swe dezyderaty. To też w kilka tygodni po rozpoczęciu naszego strajku z Warszawy przywieziono instrukcję, według której mieliśmy złożyć żądanie oszkołę polską. Kontakt z Warszawą utrzymywał niezwykle czynny w odłamie młodzieży narodowej student uniwersytetu warszawskiego K. Mastalerz. Żądania musieliśmy przesłać dyrekcji gimnazjum pocztą. Zamiarem naszym było wejść do szkoły, uprzedzony jednak dyrektor obstarwił ją kozakami, to też po porozumieniu się w kościele Wizytkowskim, zdecydowaliśmy inaczej.

Aktem tym strajk nasz nabrał innego już charakteru. Z walki o sprawy wewnętrzno-szkolne przeszliśmy w łóżyisko walki narodowej.

*Fr. Dec.*

## Garść wspomnień z rosyjskiego gimnazjum żeńskiego w Lublinie.

Kiedy w 1905 roku ogień rewolucji objął całą Rosję, młodzież polska w Królestwie stanęła do walki o szkołę narodową.

Jakkolwiek ruch ten wybuchł spontanicznie, miał jednak dalej sięgające przyczyny. Były niemi wielorakie i ciężkie krzywdy, jakie czyniła nam szkoła rosyjska, która w zaraniu życia zaciążyła nad nami, siejąc w duszy dziecka strach, nieufność, ucząc go kłamstwa i poniewierając jego godnością.

Dominującym uczuciem, które towarzyszyło polskiemu dziecku w pierwszych latach w szkole, był strach. Gdy przeszło się Scyllę i Charybde wstępnych egzaminów, nastąpiła nauka. Mimo przygotowania, dziecko nie zawsze opanowało trudności obcego języka. A tu przepisy, zakazy! Jak wybrnąć z tego? Jak opanować program naukowy, skoro nie rozumiało się nauczyciela? Stąd stałe uczucie strachu.

Osobą, której najwięcej obawiały się uczennice gimnazjum rosyjskiego w Lublinie, był inspektor szkolny Malicki. Mały, garbaty, niepospolicie brzydki miał zwyczaj znęcać się nad dziećmi, które nie umiały dobrze po rosyjsku, znajdując w tem sadystryczną upodobanie. Bałyśmy się go jak ognia. Nie wystarczało bowiem umieć. Dla niego Polka nigdy nie umiała dostatecznie po rosyjsku. Skoro doniesiono nam przed lekcją — „Malicki dziś zły”, prze-

rażone porzucaliśmy zabawy na pauzę, kując bezmyślnie reguły gramatyczne. Nadchodziła lekcja — sroga kara. W klasie męczący, denerwujący nastrój oczekiwania. Dzwonek. Wtaczała się wreszcie poczwarna postać zniecierpliwionego profesora. Jak dziś pamiętam obrazek. Stoi przy tablicy człówek-małpa w granatowym fraku. Na głowie czubek ryżych włosów, z za okularów miga złośliwe spojrzenie małych oczek. Krzyczy i gniewa się na stojącą przed nim uczenicę; wtedy z za wykrzywionych szpetnie warg czernieją rzadkie zęby. Jest tak odrażający w swym gniewie, że przerażona uczennica patrzy nań jak urzeczona i nie rozumie nic. W dodatku nie zna dobrze języka i nie wie, czego od niej chcą. Milczy więc. Gniew Malickiego rośnie, przyskakuje do niej z jakimś pytaniem, a biedna dziewczynka zaczyna się trząść — i w płacz. Płyną te łzy niemocy polskiego ducha, któremu przemoc nakazuje naukę w obcej mowie. A z ust rozgniewanego pedagoga pada słowo — „Jedinica”.

Wspomnienie tych lekcji zaprawnych strachem, podniecanych groźbą, pozostało mi w pamięci jako obraz mordowni dusz dziecięcych.

Dla starszych posiadał Malicki inne środki: szyderstwo, ironję, naigrywanie się z nazwisk i z polskości. Pogardzał temi, które usiłowały go zjednać pochlebstwem, w głębi duszy obawiał się śmiałych i zdecydowanych na wszystko.

To też nie należy się może zbyt dziwić, że wieść o jego śmierci przyjęły uczennice z pewną ulgą.

Drugą osobą, zniecierpliwioną przez uczennice, była przełożona gimnazjum, Zinaida Nikolajewna, Gurjewa, zwana pospolicie Ksantypą. Wysoka, chuda postać o małej siwej, głowie i ostrem spojrzeniu niebieskich oczu. Dama ta mieszkała przy gimnazjum na górze. Gdy rano schodziła na dół, zamiatając trenem granatowej sukni kurz na schodach — cichy szept „Ksantypa” biegł wśród dziewcząt, które rozbiegały się nagle. Skoro na drodze jej znalazła się uczennica, która nie umiała należycie wykonać przepisowego ukłonu, Ksantypa przesywała ją ostrym wzrokiem, indagując o różne sprawy. Biedaczce wtedy kołowaciał język i polskie słowa zaczynały się plątać wśród rosyjskiej mowy. Za to karano ją karcerem, lub zmniejszaniem stopni ze sprawowania.

Do grupki szepczących małych dziewcząt zbliża się nagle Ksantypa. Pyta ostro bez wstępu. Mówcie prawdę, tylko prawdę! „W jakim języku mówiliście ze sobą?” Nawykłe do prawdomówności, nie zepsute jeszcze atmosferą szkoły, odpowiadają: „po polsku”. Spojrzenie naczałnicy staje się zimne jak lód, padają ostre słowa nagany za niestosowanie się do przepisów. A potem kary: karcer, złe noty.

I znów poczucie gorzkiej krzywdy rośnie w duszy dziecka.

Znamiennem było, że ta ostra, wymagająca kobieta była słodka i łagodna dla rosjanek, zwłaszcza dla córek wyższych urzędników: Sewastjanówny i Tchórzewskiej. Te były oczkiem w głowie. Nas w najlepszym razie traktowała obojętnie, nazywając pogardliwie „kataliczkami”. — Słowo Polki nie chciało jej przejść przez usta.

Z tych powodów w pierwszych latach pobytu w gimnazjum szło się do szkoły ze wstrętem prawie, uczyło z przymusem.



Lata idą. Życie i młodość robi swoje: już w II i III klasie nie jest tak źle. Są miłe koleżanki, wspólniczki niedoli, są różne sposoby podejścia i oszukiwania nauczycieli: umie się w porę zamilczeć, gdy przez korytarz przelatuje Ksantypa, lub znieławidzony szpicel — klasowa dama. Wie się, jak podczas zbliżania się profesora, wśród ciekawej rozmowy — rzucić dla niepoznaki rosyjskie słowo.

Duszę polskiej dziewczynki zatrzuwa jad: kłamstwo. Dzięki tej broni już nie obawialiśmy się Ksantypy, ani klasowych dam — potrafiłyśmy je zawsze oszukać.

Jednym ze środków rusyfikacyjnych gimnazjum była biblioteka. Dawano nam, dzieciom do czytania różne powieści, gdzie w tendencyjny sposób przekręcano fakty historyczne, naigrawając się z polskości. Skoro nad dzieckiem czuwał dom, książka nieczytana zwracana była do biblioteki, w przeciwnym razie zatrzuwało się dusze jadem nieufności do swoich.

Mimo zakazów umiałyśmy w zręczny sposób oszukiwać władze szkolne, przynosząc do szkoły książki polskie i wymieniając je między sobą.

Nauczanie języka polskiego w gimnazjum prowadziła p. Kropiwnicka, która stosując się do przepisów szkolnych, mówiła do nas po rosyjsku i kazała nam wydawać lekcje w tym języku. Było to komiczne nieraz skojarzenie języka rosyjskiego z polskim. Na tych lekcjach czułyśmy się fatalnie. To też prawdziwą radością była dla nas zmiana nauczycielki. Już w IV klasie miałyśmy lekcje z p. Jasięską (obecnie p. mecenasowa Głuchowska). Była ona ostoją ducha narodowego dla uczenic Polek umiała budzić z uspienia ducha dzieci polskich, dać im zachętę do pracy nad sobą. Już same lekcje z nią były dla nas czymś odświętnym: mówiło się tam po polsku!

Były one nieobowiązkowe; każda Polka jednak uważałaby sobie za ujmę nietylko nie uczęszczać na lekcje, ale mieć stopnie gorsze od 4-ch. Miłe, dobre godziny! Strzeżone przez „opiekunkę” klasy, dawały mimo to słodycz i radość mówienia, choć w skąnym zakresie w ojczystym języku. A skoro zdarzało się, że „anioł stróż”, czyli klasowa dama, odwołana została z lekcji, ileż radości dawały wtedy wolne dyskusje, ile zainteresowania, zapału budziło roztrzyganie prostych literackich zagadnień. W murach rosyjskiego gimnazjum, gdzie za każde słowo polskie płacono 4-ką „ze sprawowania, lekcje polskiego były dla nas drogim świętem. Gdy dziś, po tylu latach, zestawiam tę chwilę z terażniejszością i porównuję stosunek współczesnej młodzieży do szkoły polskiej ze stosunkiem naszym do owych skromnych „polskich” godzin... smutne refleksje nasuwają się na myśl. Jakaż różnica! Tam entuzjazm i zapał, — tu obojętność, tam wdzięczność za każde słowo, będące siewem przyszłości, — tu chłód, a często i bezzasadna krytyka. A przecież współczesnemu nauczycielstwu nie brak zapału do pracy, ani umiłowania młodzieży. Czyż koniecznie trzeba utracić to, co się kocha, aby ocenić jego wartość? Czyż atmosfera konspiracji jest najodpowiedniejszą u Polaków dla rozkwitu najlepszych uczuć?...

Prefektem naszego gimnazjum był ś. p. ks. Jan Szpringer, ale tylko w pierwszej połowie roku szkolnego 1904/5.

On, również, jak p. Jadwiga Jasińska, mówił z nami tylko po polsku na lekcjach. A jako do-

wód jego usposobienia do rządu rosyjskiego może posłużyć fakt aresztowania go przez władze rosyjskie i wysłania na Syberję.

Ponieważ szkoła rosyjska przymuszała nas do opanowywania marnych programów i dawała nam tak mało, więc należało się dokształcać.

Stąd z inicjatywy p. Jasięskiej powstało u nas w 1903 r. tajne kółko samokształcenia. Uczyłyśmy się historii Polski i literatury. Pracowałyśmy z zapałem. Ulubionymi autorami byli Żeromski i Świętochowski. Cudowną tarczą, broniącą nas przed zakusami szkoły rosyjskiej, była poezja wieszczka. Ona poruszała słabe serca, umacniając je w miłości ideału. Nie wystarczała nam praca umysłowa, pragnęłyśmy wyrobić z siebie nowy typ Polki, dzielnej w pracy i nieugiętej w życiu bojowniczką.

Do tego celu trzeba było kształcić wolę i charakter. I tak powstaje w 1904 roku Kółko etyczne z inicjatywy kol. Ireny Łakomskiej i Zofji Władich.

Wreszcie nadszedł rok 1905.

Skutek przegranej wojny japońskiej nie dał na siebie długo czekać. Jak wulkan wybuchła w Rosji rewolucja, a w Królestwie Polskim strajki i ruchy wolnościowe. Wyrazem ogólnego nastroju był „Strajk szkolny” z żądaniem dania młodzieży polskiej szkoły z wykładowym jęz. polskim. Ruch ten żywiołowo objął wszystkie gimnazja rosyjskie i w rezultacie osiągnięto cel znamieny. Organizacja była wzorowa. W Lublinie w naszym gimnazjum powstał tajny Komitet, do którego należały: kol. Zabielska Zofja, Władichówna Zofja, Łakomska Irena, Szalatkowska Marja z klasy 7-ej.

Rozpoczęłyśmy naszą działalność w porozumieniu z młodzieżą gimnazjum męskiego i po odpowiednim przygotowaniu, wyznaczyliśmy dzień strajku. Zaczęła się usilna agitacja wśród młodszych uczenic, oraz wśród „niepewnych”. Do nich należały córki urzędników państwowych, którzy obawiali się o swe posady, lub dzieci rodziców nie uświadomionych naleźycie.

Wreszcie nadszedł dzień wyzwolenia. Przyszłyśmy do szkoły spokojne, lecz zdecydowane opuścić ją na zawsze bez względu na to, co się może zdarzyć. Przed lekcjami zebraliśmy się jak zawsze wszystkie Polki na wspólną modlitwę. Po odmówieniu jej koleżanka Zofja Zabielska zwróciła się do dyżurnej klasowej damy z żądaniem, aby do nas przyszedł inspektor gimnazjum. Lecz ta wcale nie zaskoczona żądaniem, usiłowała przekonać nas, że inspektor do nas nie przyjdzie, żebyśmy wróciły do klas. Stałyśmy niewzruszone, a kol. Zabielska ponawiała swe żądania. Po chwili, jak burza wpadła nauczalnicą. Po raz pierwszy zauważyłam niepokój w tych oczach, których spojrzenie budziło dotąd nasz strach. Mimo to, suchym, rozkazującym tonem oznajmiła nam, że to „wsio naprasno, inspektor nie přijdiot, raschaditiejś po klasam”. Tak silny był jej autorytet, że spojrzaliśmy po sobie w milczeniu, a że oczy kol. Zabielskiej powiedziały „później”, wróciłyśmy do klas, młodsze poszły za naszym przykładem. W niepokojącym nastroju zaczęły się lekcje. Podczas pierwszej godziny lekcji (była nią historia) wpadł do 7-ej klasy inspektor okręgowy, Niedumow, po którego posłała Ksantypa. Odrazu poznałyśmy jego niezwykle wzburzenie. Przez chwilę, hamując się, przysłuchiwał się odpowiedziom uczenic, wreszcie wtrącił pytanie, nie mające nic wspólnego z treścią



lekcji: „Czy wolno młodzieży występować przeciw woli starszych?”. Kol. Łakomska odpowiedziała, że nieraz młodzi mają rację, a starsi mylą się — (za tę odpowiedź otrzymała wilczy bilet). Wtedy rozgadał się inspektor! Składając ręce, jak do modlitwy, obłudnie serdecznym tonem błagał nas, byśmy nie gubiły naszej przyszłości, nie przyłączały się do strajku i nie robiły krzywdy rodzicom. Głuche milczenie było naszą odpowiedzią, tylko nasze spojrzenia wykazały mu niezłomne postanowienie walki. Inspektor wyszedł, czując, że przegrał tu sprawę. Na pauzach, na rozkaz z góry — wzmocnioną straż pełniły zdenerwowane klasowe damy, zabraniając nam, starszym — porozumiewać się z młodszymi klasami. Mimo to udało nam się skomunikować z nimi i wyznaczyć godzinę zebrania na popołudniu.

W ciągu następnych lekcji wezwano do kancelarii inspektora gimnazjum, Niekrasowa, koleżankę Zabielską. Dzielna nasza „prezeska” (była przewodniczącą kółka samokształcenia) wręczyła mu wcześniej przygotowaną petycję, a na wszelkie, właściwe ochronie rosyjskiej indagacje — kto i kiedy ją namawiał do stawiania podobnych żądań, odparła, że oddawna już wszystkie Polki żądają szkoły polskiej.

Treść tej petycji była następująca:

„My, młodzież gimnazjum żeńskiego lubelskiego, zważywszy, że szkoła obecna nie odpowiada podstawowym wymaganiom życia narodowego i najniższym wymaganiom pedagogiki, żądamy szkoły polskiej pod kontrolą polskiego społeczeństwa. Do niej mają mieć wstęp, czy jako uczennice, czy jako wykładowcy wszyscy członkowie społeczeństwa polskiego bez różnic narodowych, stanowych i innych”.

Gdy Zabielska wróciła do klasy, wezwano do kancelarii inspektora koleżankę W. Zajączkiewiczównę i poczęto ją w podobny sposób indagować. Lecz i ta spisała się dzielnie i nic od niej nie wydobyto. Ponieważ spełżył na niczem starania inspektora, koleżanki Zajączkiewiczówna i Zabielska otrzymały „wilcze bilety”.

Po lekcjach w tym dniu historycznym opuściliśmy gimnazjum rosyjskie na zawsze.

W myśl zapowiedzi, tegoż dnia po południu odbyło się gremjalne zebranie wszystkich Polek, uczęszczających do gimnazjum w mieszkaniu pp. Turczynowiczów, którzy sympatyzowali z ruchem młodzieży. Zatarły mi się dziś w pamięci nazwiska przewodniczących, pamiętam tylko zapal, jaki tam panował, oraz cały plan akcji. Mianowicie: postanowiono bezwzględnie bojkotować szkołę rosyjską i w tym celu notowano nazwiska i adresy uczennic nieobecnych oraz „niepewnych”. Do nich musiałyśmy się udać tegoż dnia w celu zapobieżenia ich ewentualnemu powrotowi do gimnazjum.

Nazajutrz wszystkie arterje ulic, prowadzących do gimnazjum, były obsadzone przez naszych ludzi: osoby prywatne, starsze uczennice lub uczniów. Ci ostatni byli w cywilnych czapkach: należeli do nich ś. p. kol.: Zenon Czaplicki, Bolesław Roszkowski, kol. Dec. kol. Zyg. i Adam Nowińcy, Kłopotowski. Ze swej strony gimnazjum wysłało klasowe damy, aby ułatwiały uczniom dostanie się do szkoły. Była też i naczalnica. O każdą Polkę zmierzała do szkoły toczyły się formalne walki. „Nasi” zawracali ją do domu, skoro pierwsza dobiegła Ksantypa, to z triumfem prowadziła ją do gimnazjum. Koleżce Czaplickiemu udało się zawrócić kilka ucze-

nic, lecz ujrzała go Ksantypa i gonila przez całą Bernardyńską, aby kazać aresztować. Na szczęście, kolega zręcznie czmychnął. W rezultacie tego bojkotu nieliczne Polki przyszły do gimnazjum, były to córki rodziców jeszcze nieuświadomionych. Zdarzały się fakty, że ojciec przemocą wioził splakaną córkę do rozkąd do szkoły. Nieraz dziewczęta, opierające się woli rodziców, bywały bite w domu. Dziewczęta te, niejednokrotnie z tragedją w sercu musiały słuchać rozkazów rodziców, narażając się na pogardę koleżanek.

Na obronę rodziców powiedzieć należy, że byli to przeważnie urzędnicy państwowi, którzy przez nieposyłanie dzieci do gimnazjum narażali się na utratę posady. Bywały fakty, że byt rodziny, utrzymanej dotąd przez starą matkę, zależał od szybkiego ukończenia szkoły przez najstarszą córkę. W obu wypadkach ponoszono wielkie ofiary, gdy dziewczęta rezygnowały z matury.

Życie tych dziewcząt bywało niejednokrotnie złamane. Najbiedniejsze, którym bardzo zależało na otrzymaniu matury, zmuszone były do wędrówki do innych miast w Królestwie lub Rosji.

Inne, zamożniejsze, wędrowały do Krakowa; tam, z powodu dużej różnicy programów, nie zawsze mogły podjąć pracy, przez co droga do wyższych studjów była dla nich zamknięta.

To też bez przesady powiedzieć można, że młodzież klas wyższych, która z takim zapalem bojkotowała szkołę rosyjską, świadomie przekreślała swą przyszłość, karierę i stanowisko.

Mimo trudności późniejszego życia, byli szczęśliwi, że ofiarą swą przyczynili się do powstania szkoły polskiej na 12 lat przed odzyskaniem niepodległości.

Gorliwa agitacja wśród tych rodziców, prowadzona przez nasz komitet oraz „Komitet Starszych”, doprowadziła do tego, że liczba tych uczennic malała z dniem każdym. W końcu lutego potworzyły się komplety dla młodzieży strajkującej. Uczyli się młodszy do IV klasy włącznie, nauczanie prowadziła młodzież starsza. Nauka w kółkach samokształcenia nie ustawała. Były to więc dla nas czasy wytężonej pracy i światłej nadziei. Praca w tajnych organizacjach wrzała na dobre. Wkradło się już zabarwienie partyjne, wytworzyły się 2 obozy: postępowy i narodowy. Wydawano pisma: Ver Sacrum i Płomień.

Znamiennem jest to, że choć antagonizmy partijne nie przejawiały się dość wyraźnie, idea bojkotu szkoły rosyjskiej jednoczyła nas i zgodnie zdążyliśmy do celu: a tym było: zbudować na gruzach szkoły rosyjskiej wolną i szczęśliwą szkołę polską. To też poparci przez ideowe nauczycielstwo oraz grono inteligencji miejscowej — sprawę wygraliśmy i już w jesieni doczekaliśmy się szkoły polskiej.

Pierwszą szkołą żeńską, powstałą w Lublinie po strajku była Szkoła Handlowa pani Latosińskiej, obecne Gimnazjum Matematyczno-Przyrodnicze p. Kunickiego. Do niej udały się uczennice od kl. V-jej włącznie.

Dziś, gdy po 25 latach wspominamy te dni przełomowe, my, wychowanki dawnej szkoły rosyjskiej, czujemy, że nie zapomnieliśmy nakazów i hasła walki 1905 r.

Jak ongiś — pragniemy, aby w naszej szkole wychowywała się młodzież nie dla kariery, dypl-



mów i posad, ale dla zdobycia prawdziwej nauki i wszechstronnego rozwoju duchowego.

To też dla dopięcia tego celu nie ustaniemy w pracy nad rozbudzeniem szczęśliwej szkoły polskiej.

*Marja z Szatatkowskich—Grychowska.*

Urywek z poematu:

## ZERWANE PĘTA.

W 25-cio letnią rocznicę strajku szkolnego.

W rosyjskiej szkole duszę dziecka pętała czujność wciąż zdradziecka i narzucała wrogą mowę.  
Prócz tego w życie ją domowe wtłaczała, lekcji dając tyle, że wszystkie wolne dotąd chwile zapelnąć „Kuciem” trzeba było rosyjskich słówek, regul, siłą wciskanych w polskich dzieci głowy, w których gasł wtedy sen tęczyowy baśni... Mniej zdolnym brakowało istotnie czasu, by z rodziną cieszyć się w domu duszą całą ojczystą mową, z której płyną najdroższe słowa ojca, matki, narodu chwala, łzy, upadki.  
Taki już system był tej szkoły: dławić w nas polskość w dzień i w nocy. „Dzieci ulegną tej przemocy!” twierdziły „mochów”\*) apostoły.  
„Za lat dziesiątek myśleć będą w naszym języku. „Prywislinje” \*\*) młodzi — oddani nam — posiedzą, a my — ordery za „starańje”.  
Nieraz bąk mały, w abecadła zaledwie mądrość zatopiony, bywał wśród nocy przebudzony szarpaniem dzwonka. Twarz mu bladła kiedy z gimnazjum dojrzał szpicla, jak wpadał do sypialni braci. Widział ruch każdy tej postaci, świecącej śpiącym świecą w oczy, chociaż zaledwie sen ich zmroczył przed chwilą, choć już miasto spało oddawna. Nieraz usłyszało dziecko krzyk brata gdy zbudzony ze snu się zrywał przerażony z krzykiem, co targał lękiem serce...  
A po tej nocy trwał w rozterce

\*) moskali.

\*\*) Prywislańje — nazwa nadana przez zaborców królestwu polskiemu.

dom cały trwożny i do zmroku czekał na chłopców, po wyroku żeby z gimnazjum powrócili. Wyrok był prosty: „ot, zgrzeszyli próżniactwem, bo spali zbyt wcześnie i zapomnieli lekcji we śnie. Więc też złe noty i godziny aż dwie „karce” \*) za te winy”. Przepięstwa uczni tak obliczał katowski rząd Siengalewicza. A potem chłopcy i dziewczęta które tak każde z nich pamięta: — rodzeństwo braci tych, do szkoły tej samej poszli na mozoły, Jedna katorga: „udarieńja” — zły akcent ruski: straszna zbrodnia! Inne: styl polski w ruskiej mowie; w historii — zbyt prawdziwe „mnieńja”! \*\*) Więc zadawano niemal co dnia z łlowajskiego historyka stron wiele „prawdy”, co przenika wprost dreszczem, tyle kłamstw zawiera. To też natura bardziej szczerą „Kuc” to musiała co do słowa, by nie zmyliła kłamstw tych głowa, by nad nią bomba kar nie pękła. Tożsamo z ruskim: młódź zalekła „kuł okresy całe, zdania, by odpowiadać na pytania w rosyjskim stylu, dwójki, pały; by dragiem na nią nie spadały i nie zlamaly jej przyszłości. Tak wróg osiągnąć chciał cel złości: zakuwać młódź, by nie myślała, by niebezpieczną się nie stała myślą, co orle ma rozpędył... Katorga czwarta: w szkole wszędy po polsku mówić nam wzbroniono pomiędzy sobą i ochroną szczególnie rozkaz ten objęto. Z klasowych dam szpiegowskie warty na korytarzach dziewcząt strzegły i, słysząc mowę tak przejętą, do nieposłusznych zaraz biegły. O polskie słowo bój zażarty w powodzi grózb te wiodły damy, a my milczący, lecz uparty miałyśmy odzew „nie oddamy!”. Od spojrzeń złych, od uszu wroga poniżająca kłamstwa droga była jedynem nam wytchnieniem. W tej drodze dziecko „doświadczone” miało polskości swej obronę

\*) Kozy.

\*\*) zdania.



i męki życia — rozjaśnienie.  
 Nieraz, fortepian służył stary,  
 by weń uczące się tam pary  
 wrzucały książkę polską miłą  
 gdy wrogie „lichy” się zbliżyło.  
 Gdy zaś krążyła przelożona,  
 poezji polskiej nikły dźwięki,  
 a koleżanka, wciąż natchniona,  
 historję Rosji do swej ręki  
 brała, wołając: „Najście drugie  
 Tatarów na „Rosję” wielką”,  
 poczem płynęły zdania długie,  
 niweczając podejrzliwość wszelką.  
 „Paszła!!” Śmiech cichy i znów mowa  
 poetów polskich piorunowa.

Lecz rzadkie mogły to być chwile,  
 bo liczba szpiegów w szkole wzrosła.  
 W ileż dni wrażeń przykrych ile,  
 każda ze szkoły w duszy niosła!  
 Ciężar przytłaczał pierś nad siły,  
 zgnębienie cień na młodość kładło  
 gdy „tak być musi!” nam mówiły  
 dni szare mową swą wybladłą.  
 Znużenie straszne, bunt tłumiony  
 niemoc do czynu nam się rwąca  
 i lęk, że będzie on zdławiony  
 jak jego przeszłość gorejąca.

*Helena Kwapiśzewska*

była strejkująca uczennica 5 ej kla-  
 sy Gimnazjum rosyjskiego w Lublinie

## Jak trafiłem do więzienia rosyjskiego.

Pomimo iż strajk szkolny trwał w całej pełni, i na ogólną liczbę 397 polaków uczni, zapisanych przed strajkiem, uczęszczało zaledwie 43 i to w niższych klasach, władze gimnazjalne wyznaczyły w czerwcu egzamina. Postanowiliśmy nie dopuścić do ich odbycia się.

W dniu więc 16 czerwca 1905 r. przed godz. 9 rano zebraliśmy się, według klas, po bramach domów przy ulicy Namieśnikowskiej wprost gimnazjum. Kiedy na zegarze wieży trynitarńskiej wybiła godzina 9, wyszliśmy szybko z ukrycia i zgrupowaliśmy się pod gmachem szkolnym. Na komendę rozpoczęliśmy bombardowanie kamieniami gmachu, wrzucając jednocześnie do we wnętrza przez rozbite szyby butelki z cuchnącym płynem. Akcja ta, jako zawczasu obmyślana, udała nam się znakomicie, gdyż nikogo z nas nie udało się policji schwycić, za co zresztą, sądząc z akt dawnego archiwum rosyjskiego gubernatora rosyjski dostał wymyślenie od general-gubernatora warszawskiego. Nie obyło się bez humorystycznych „kawałów”. Wraz z kolegami: Adamem Nowińskim i Czesławem Siweckim ucie-

kliśmy na jakąś dolną ulicę za gimnazjum i skryli się do znajomych państwa. W mieszkaniu była tylko służąca i siostra gospodarza. Po pewnym czasie wpada do pokoju przerażona służąca i oznajmia drzącym głosem, że jeden policjant znajduje się na podwórku, a drugi stoi przed bramą na ulicy. Krótka narada i decydujemy się uciekać. Ale jak? Przychodzi nam pomysł przebrać się po cywilnemu. Było tylko ubranie pana domu, dość tęgiego mężczyzny. Nie pozostawało nam nic innego, jak brać to, co było pod ręką. Pomimo tragicznej sytuacji, zaśmiewaliśmy się z naszej maskarady. Jeden był ubrany w długi, szeroki tużurek i jasną czapkę cyklistówkę (bo najlepiej pasowała na jego głowę), drugi w jasną marynarkę i melonik, trzeci w jasne sakpalo, w którym nie było widać mu wcale rąk. W takich to przebraniach wymknęliśmy się jeden po drugim obok oglupiałego policjanta, któremu nasza bezczelność sparaliżowała ruchy. Kiedyś my następnie wydostali się na ożywioną ulicę, przechodnie oglądali się za nami i dziwili, skąd wzięli się tacy osobliwi eleganci.

Chociaż nikt z uczestników bicia szyb nie został schwytyany na gorącym uczynku, do gubernatora przesłany został przez policmajstra następujący raport: „Z masy uczni, którzy brali udział w bombardowaniu gmachu gimnazjalnego w dniu 2 czerwca (starego stylu), zauważeni zostali przez pomocników klasowych gospodarzy Nazarewicza i Rożkowskiego następujący uczniowie: Stefan Kłopotowski, Kazimierz Wyszyński, Bolesław Ryszkowski, Mieczysław Skrzetuski, Stefan Zabielski, Jan Tolwiński, Ignacy Uzdowski, Czapczyński, Konstanty Świątek i student Władysław Kiwerski. Niestety nikogo z nich nie udało się zatrzymać („zadzierżat nikawo nie udało”).

Na podstawie tego raportu, 17 czerwca wezwano nas kilku do policji na śledztwo, a mianowicie: Wyszyńskiego, Zabielskiego, Uzdowskiego i mnie. Według raportu policmajstra, wezwani „wypierali się znajomości ze studentem Kiwerskim i nie chcieli podać adresu jego siedziby. Zachowywali się jednak grzecznie i spokojnie”. W dniu 19 czerwca wezwani zostaliśmy ponownie na śledztwo. Do wymienionej liczby przybyło jeszcze dwóch: Siwecki i Dec. Tym razem również zjawił się i Kiwerski. Pytania dygnitarza policyjnego były jednakowe, zarówno jak i odpowiedzi: „Czy pan brał udział w biciu szyb?” — „Nie”. — „A co pan wtedy robił?” — „Byłem chory, mogę przedstawić świadectwo lekarza”. Najzabawniejsze z całego śledztwa było nasze zachowanie się: kiedy „prystaw” zapytał Deca po rosyjsku, ten odpowiedział po polsku. Na to komisarz: — „Dlaczego nie odpowiada pan po rosyjsku?” — „Bo nie umiem” — brzmiała krótka odpowiedź. — „Jako? przecież pan uczył się w gimnazjum po rosyjsku?” — „Tak.. ale już zapomniałem”. „Tak prędko?” — pada ironiczne pytanie. — „Cóż na to poradzę, że mam taką krótką pamięć”. Carski urzędnik wściekał się, piecił, ale nic nie mógł nam zrobić. Gdy trzech pierwszych odmówiło stanowczo zeznań w języku rosyjskim, uspokoił się i przyjmował zeznania po polsku. W raporcie swym do gubernatora po-



liemajster lubelski pisze o nas między in.: „Zachowywali się wyzywająco, niegrzecznie, prowokacyjnie; odpowiadali po polsku, pomimo żądania od nich dawania odpowiedzi w państwowym języku”. Przeglądając obecnie dawne akta gubernatora lubelskiego, znalazłem polecenie tegoż gubernatora z dnia 12 lipca 1905 r. do prokuratora skazania kilku z nas administracyjnie na areszt, a mianowicie: mnie, Ignacego Uzdowskiego, Stefana Zabielskiego i Stefana Kłopotowskiego. Dlaczego właśnie nas zaszczytli tym honorem, pozostanie na wieki nieodgadnioną tajemnicą.

Po spisaniu historycznego protokołu dano nam spokój. Żegnając się z kap. Łojko, zapytałem go, czy mogę udać się na wycieczkę krajoznawczą. Ten odpowiedział z przesadną grzecznością: „Ależ proszę bardzo.”

Po blisko miesięcznej włóczędze do Ojcowa, wróciłem do Lublina. W domu czekała mnie niespodzianka. Rodzice oznajmili mi z trwogą, że kilka dni temu przychodził policjant i pytał się o mnie. Po mieście zaś kursują pogłoski, że skazany zostałem administracyjnie na areszt za udział w biciu szyb. Wiadomość tę przyjąłem z uśmiechem, uspakajając rodziców tem, iż nie wszyscy mają szczęście dostąpić zaszczytu siedzenia w więzieniu rosyjskiem za Ojczyznę. Tegoż samego dnia wyszedłem na miasto, by zasięgnąć języka. Traf zdarzył, że spotkałem kolegę Kłopotowskiego. Nieomieszkałem natychmiast pochwalić się przed nim wizytą policjanta. Kiedy zaś dowiedziałem się, że i u niego podczas jego nieobecności, odwiedził go stróż bezpieczeństwa publicznego, bohaterstwo moje nieco zmalowało. — „Wiesz co?” — proponuje mi zawsze wesół Stefan: „Jeśli mamy siedzieć, to lepiej odwalmy to teraz, póki są jeszcze wakacje. Po djabła mamy zwlekać?” Przyznałem mu słuszność. Zdecydowaliśmy natychmiast udać się następnego dnia zrana do komendy policji i zapytać, czego chcą od nas opiekuni carscy.

O umówionej godzinie spotkałem się z towarzyszem niedoli. Dzień był jasny, pełen letniego słońca; na ulicach ruch normalny. \*Nikt na nas nie patrzył, nie podziwiał. Idziemy Krakowskim Przedmieściem. Po drodze nieoczekiwanie włączymy na samego Łojkę. Klaniamy mu się, jako dobremu znajomemu (ze śledztwa) i pytamy (oczywiście po polsku), jako lojalni poddani jego cesarskiej mości, co oznaczają wizyty policjantów w naszych domach. — „Może panowie pofatygują się do policji, sprawdzimy” — zaprasza nas po wersalsku pan „prystaw”. Chętnie mu towarzyszymy, przygotowani już na odsiedzenie „swego”. W przedpokoju prosi nas, byśmy zechcieli poczekać chwilę. Zerkamy w bok: stoi ławka, a na niej policjant bacznie okiem nas obserwuje. Zaczyna nam się już nudzić. Wreszcie po pewnym czasie zjawia się pan kapitan i ze słodkim uśmiechem oznajmia nam „hiobową wieść”: „Wy, gaspada, arestowany” (Jesteście panowie arestowani). Minę ma łotr tryumfującą. Patrzy ciekawie na nasze twarze. Spotyka go zawód. My również uśmiechamy się. — „Pan na sześć tygodni” — komunikuje Kłopotowskiemu — „a pan „t. j. ja” na cztery tygodnie.” Kłopotowski

śmieje się i pyta bez ogródek: — „A dlaczego ja na sześć, a kolega tylko na cztery?” — „Bo pan miał więcej świadków. Przykro, że wasi koledzy przeciw wam zeznawali.” — „Jacy?” — coraz głośniejsze śmieje się ubawiony oświadczeniem Łojki Kłopotowski: — „Bajki, panie naczelniku.” — „Ha...” — mruknął komisarz już bez uśmiechu i bez pożegnania odwrócił się do nas plecami i znikł za drzwiami. Teraz w opiekę wziął nas siedzący na ławce policjant. — „Może, panowie, napiszą listy do rodziny?” — proponował nam troskliwy opiekun. Skorzystaliśmy z propozycji. Po załatwieniu jakichś formalności kazano udać się nam tylnymi drzwiami na podwórze. — „Jedziemy przez Krakowskie” — wyrokuje Kłopotowski. Nie mam nic przeciwko temu. Na dziedzińcu stoją już dwie dorożki dwukonne „na gumach”. Chcemy wsiąść razem — rozdzielają nas. Chcemy jechać w otwartych dorożkach — nastawiają budy. Chcemy jechać Krakowskim Przedmieściem — wiozą nas bocznymi uliczkami przez t. zw. „wydy”. Trudno — musimy ulec brutalnej sile. Z szykiem zajeżdżamy wreszcie pod olbrzymie drzwi więzienia — zamku, który ongiś bronił Lublina przed Szwedami. W kancelarji opisują nas w książkach i prowadzą na górę do korytarza politycznych. Zazgrzytał zamek w celi. Otwierają się dębowe drzwi... — „Jak się macie! I wy tutaj?” — krzyczy uradowany Uzdowski. Za nim stoi kolega Zabielski. Wchodzimy do celi. Dozorca więzienny zamyka za nami z powrotem drzwi na klucz i pozostajemy sami: czterech więźniów, czterech buntowników, mających za ledwie po 18 lat życia za sobą. W tym czasie na tym samym korytarzu siedzieli polityczni: majster fabryczny, bojowiec pepeesowiec — Lęk; studenci Instytutu Leśnego w Puławach — Niepokojczycki i socjaldemokrata Szabaszników za podburzanie żołnierzy do buntu — jakiś uczeń z seminarjum nauczycielskiego i pewien robotnik, pepeesowiec. Wymieniam ich nazwiska, gdyż dziś jeszcze po latach 25 stoją mi w pamięci ich twarze z owego czasu.

Mieczysław Skrzetuski.

## Młodzież po wybuchu bojkotu szkoły rosyjskiej.

\* Nie dla odparcia ataków na młodzież strejkującą, jakimi ją niegdyś napastowano z pewnych sfer społeczeństwa starszych, ale gwoli ukazania oblicza prawdy, dziś po tylu latach, kiedy już obiektywnie można wydobywać ze swej pamięci fakt po fakcie, pragnę zabrać głos w związku z uroczystym uczeczeniem powstania młodzieży do walki o szkołę polską. Rezurekcja młodych dusz i palających serc, walka o najświętszy ideał i przechyłanie się szali zwycięstwa na ich stronę, pewnie że zakotłowała w umysłach pijanej czynem młodzieży. Nie dziwnego, człowiek wzlatający na wyżyny też doznaje pewnego zawrotu głowy, ale nie znaczy to, aby stracił wzrok na przyszłość, aby zapomniał o nakazie chwili, nie zastanawiał się nad realnymi zadaniami życia i nie dążył do celu pozytywnymi środkami.



Rok 1905. Strejki. Niebawale ożywiony ruch w starych i powstających partiach politycznych. Manifestacje i krew na bruku. Jutrzenka swobody dla wyzwalającej się z jarzma caratu masy rosyjskiej. Wojna rosyjsko-japońska. Problemy autonomii, podniecające umysły polskie. Z ludem rosyjskim, czy na własną rękę walka o swe prawa, o życie narodowe. Każdy dzień, każda godzina brzemienna wieściami wali i wali w napięte do zenitu umysły młodzieży. Czyż mogła ona zachować zupełną trzeźwość, mogła się odseparować od wiru wydarzeń, jakie kłębiły się wokół, czy mogła ona pozostać młodzieżą w normalnym tego słowa znaczeniu?

Jeśli ginęła w wirze zmagania partij politycznych, to kto ponosił za to odpowiedzialność? Same partie przez swych agitatorów i przywódców wciągały młodzież, jako materiał najbardziej podatny do nadania celom partyjnym rozmachu i żywiołowości. Korzystano z młodzieży dla przełożenia bibuły, broni t. j. dla czynów bardzo niebezpiecznych, nie więc dziwnego, że młodzież w takiej atmosferze, choć nie wiekiem, ale doświadczeniem i sumą przeżytych wrażeń pasowana była na ludzi dorosłych. Czyż ta młodzież nie prowadziła pracy zakonspirowanej wśród robotnicarzy i ludu wiejskiego, czy nie jeździliśmy w owych czasach z odczytami i agitacją, czy nie stwarzaliśmy zorganizowanych kółek, które potem wcielano do tej lub owej partiji?

A więc nie można stawiać tej młodzieży, jak to wówczas robiono, zarzutów, że się wykołajała, zamiast się uczyć, uczyć i uczyć. Młodzież uczyła się naprawdę i to rzeczy najważniejszej, życia. Pewnie, że jej posunięcia ideowe były zbyt śmiałe i nie liczące się może zbyt z rzeczywistością. Młodzież głową i sercem tkwiła wśród ideałów. Niech mówią zresztą fakty, dajmy im przyjść po głos. W 1905 r. postanawiamy z kol. Kostorkiewiczem zawiązać kółko gimnastyczne. Idea sportu nie przyszła do nas z zagranicy, wyrosła z prężności naszych mięśni, które wymagały odpowiedniego kultywowania. Zwracamy się do ś. p. Kordégo, zawodowego poniekąd gimnastyka i ten chętnie przyjmuje naszą propozycję fachowego kierownictwakiem. W lokalu rzemieślników i kupców przy ul. Królewskiej 15 w Lublinie gromadka dziesięciu ćwiczy. Po pewnym czasie wchodzi z nami w kontakt (zasadniczo myśmy do nikogo się nie udawali za wyjątkiem p. Kordégo) p. Doborzyński Stanisław Redaktor „Gońca Lubelskiego”, a następnie p. Radzikowski i organizacja nasza powiększa się, zaczyna przytem przybierać inny charakter.

Kiedy mowa o odbudowie państwa polskiego, o czynie zbrojnym, w to nam graj, czuło się i radziło wówczas. Dość, że z tej skromnej organizacji (byłem jej sekretarzem) rozwija się „Sokol”, który konspiracyjnie, a następnie jawnie występuje 1906 r. w czasie uroczystości ku uczczeniu powstańców 63 r. Pochód Sokolów, a właściwie młodzieży grzmi przez Królewską, Nową, Lubartowskie, za rogatki do pomnika.

Czwórkami, z zastępowymi i z pieśnią na ustach. To nie był „Ospaly i gnuśny, zgrzybiały ten świat”. To było życie w najimpulsywniejszym

jego odruchu. To był kwiat uczuć, który lzy radości i rozczulenia wyciskał z oczu. Ludzie płakali. To nie zew demona rewolucji, to miłość szczerą i czystą do tworzącego się nowego życia, jasnego jutra! Myśmy „dziś” wybijali w szale rozpędu młodzieńczego, „dziś” jędrne i mocne! Lzy uniesień, jak w kościele, gdy poraz pierwszy uniosła się pieśń „Boże coś Polskę”. W kościele Po-Wytkowskim. A kto ją pierwszy zaintonował?

Stubak, strejkowicz, ucz. kl. V-iej. Drżący głos zharmonizowany z rozkołatanym sercem, wzbil się pod stropy, aby pobudzić inne, które wciąż napływały, aż wypełniły po brzegi świątynię, aż wypełniły po brzegi dusze i serca zebranych, przekreślając obawę policji, żandarmów i wojsk, pomimo, że mogło się stać to, co w niedługim czasie zabrzmiało szatańskim echem w śródmięściu i po zaułkach miasta Lublina: Salwa karabinów, trzask kul o mury kościoła św. Ducho i sąsiednich domów.

I jeśli ktoś się ośmieli oświadczyć, że rozleniwienie wyparło młodzież poza mury szkoły rosyjskiej, niech przyjmie do wiadomości, że natychmiast prawie po rozpoczęciu się strejku zaczęły funkcjonować komplety. Konspiracyjnie gromadziły się w różnych mieszkaniach prywatnych grupy uczniów, i pod kierunkiem starszych kolegów odbywała się systematyczna nauka. Lekcje te były płatne, a nauka nosiła ten wyjątkowy charakter, że garnęła się do niej młodzież bez napędu, z zamiłowaniem. Zresztą o tych kompletach wszyscy wiedzą, natomiast muszę uprzytomnić niektórym, a ogół zapoznać z zupełnie poważną instytucją t. zw. „Sekcją odczytową, przy Tow. Higjienicznym w Lublinie”.

Uczniowie kl. V, VI w osobach kolegów: Siepioty, Wołoskiego, Rachalewskiego, Grzymały, ś. p. Kleina i autora niniejszego artykułu postanowili zorganizować kółko przyrodnicze. Ponieważ zamiłowania skłaniały nas głównie do chemji, więc wynajęliśmy mały pokój przy ul. Narutowicza w domu pp. Harasiewiczów, zakupiliśmy za groszowy majątek nasz potrzebne przyrządy i szkło i rozpoczęliśmy pracę.

Wkrótce dołączyli się do naszej grupy strejkujący studenci uniwersytetu Warszawskiego. Byli to: Galecki Antoni, dziś prof. Chemji na Uniwersytecie w Poznaniu, Kalusza Józef również prof. tegoż uniwersytetu, Günter Waclaw, student politechniki, ś. p. Chuchrowski i Bartoszewski, studenci weterynarji, a wreszcie przemily o ofiarne sercu i rozmiłowany w fizyce ś. p. Ruppert, geometra z zawodu i p. Helena Günter. Rozpoczynają się formalne wykłady. Lokalu użytyli nam p. p. Kocowscy. W dużej sali, natłoczonej po brzegi słuchaczami z różnych sfer i o różnym wieku uczono się systematycznie na wzór uniwersytetów ludowych, pod kierunkiem wyżej wymienionych studentów. Wszystko odbywało się tajnie. Wreszcie zabrakło już miejsca dla wciąż powiększającego się audytorjum, to też zwracamy się do Tow. Higjienicznego, które rozporządzało olbrzymimi salami w gmachu pod Dominikańskim (wejście od ul. Jezuickiej) Tow. Hig. ustosunkowało się do nas przychylnie: oddaje nam salę na drugim piętrze. W tym czasie ś. p. Ruppert ofiarowuje nam dość znaczne



zbiory instrumentów fizycznych (3 duże szafy), pracę swych własnych rąk, ale dokonaną po mistrzowsku. I wykłady kontynuujemy w nowym lokalu, jawnie. Oprócz wykładów prowadzone są ćwiczenia z zakresu chemii, fizyki i biologii. Chcąc być w zgodzie z naszą nazwą Sekcji Odczytowej, a zarazem w celu wypełnienia naszego programu, urządzamy szereg odczytów, jakich nietylko dotychczas ale i w późniejszym czasie Lublin nie widział. Pierwszorządne siły naukowe, profesorowie uniwersytetów przyjeżdżają, jako prelegenci. Prof. Jankowski przywozi wagon roślin egzotycznych z Warszawy i mówi o pasorzytach roślin, prof. Bjernacki skrapla powietrze i inne gazy, słyszeliśmy Sosnowskiego „O powinowactwie krwi”, które wzbudziło krew redakcji „Polaka-Katolika”, Stołychwę „O człowieku jaskiniowym”, Lewickiego „O wulkanach” i szereg innych aktualnych i niezwykle ciekawych odczytów z dziedziny nauk przyrodniczych. A audytorjum. Olbrzymia sala, w który miało mieć miejsce dokonanie Unji Lubelskiej, zawsze wypełniała się po brzegi, trzeba było dostawiać krzesła. A w jakich warunkach pracowali organizatorzy, niech uzmysłowi fakt powyższy.

Okres zwycięstwa reakcji moskiewskiej, czarnosecińców. Dzień w Lublinie, wstrząśnięty salwami wojska pod Bramą Krakowską. Popłoch w mieście. A my, t. j. zarząd sekcji odczytowej, na ul. Zamojskiej obradujemy na posiedzeniu do godz. 10-iej w nocy. Wracamy do domów. Noc. Ciemno na ulicach i w oknach, wszystko zamknięte, okna deskami zabite. Cisza przeraźliwa. Kroki nasze grzmia, aż głos ich odbija się w naszych sercach skowytami. Idziemy we dwóch z kol. Siepietą. Mamy przy sobie papiery całej organizacji, spis imienny członków. Przemycamy się miejscami jak cienie, głuźmy kroki, skradając się na palcach niekiedy. Już, już jesteśmy na Królewskiej, już prawie mijamy mur, aby przez plac katedralny skręcić ku Bramie Trynitarńskiej. Nagle: „stoj”. Dwu dońskich kozaków o kałmuckich twarzach, na koniach przywołują nas do siebie. My stoimy jak wryci. Podjeżdżają do nas. „Ej, kto wy”. Odpowiadamy „uczniowie z lekcji”. „Uczyliś—no to stupajcie w uczestok”. Jedna sekunda lęku, a potem zimna równowaga ducha. Zrezygnowani. Idziemy. Nagle błysnęła myśl. Zagaduję do kozaków. Powtarzam, że jesteśmy uczniowie, zresztą widać to po ubraniu, że idziemy do domów, że... damy im na papierosy. Widocznie chciało im się palić. Nałóg zwyciężył i oddał nam przysługę. Kozak odzywa się: „Choroszo, dawaj”. Ja 10, kolega 15 kop i już idziemy wolni do domu. A tośmy się uśmieśli! Śmiech jako następstwo silnego napięcia nerwów.

Obrazek skończony, idę dalej, wracam właściwie do zasadniczego tematu, udziału młodzieży w pracy intelektualnej, oświatowej, a wreszcie w pracy humanitarnej. A skąd wzięło początek powstałe w Lublinie Tow. św. Wincentego à Paulo? Pewien uczniaczek kl. V-iej (F. D.) przy pomocy i czynnym udziale p. Foppowej chodzi od domu do domu i wśród znajomych zbiera członków, płacących składki. Równocześnie wyszukują wyjątkowej nędzy, Chodzą na poddasza, do nor-

piwnicznych, odwiedzając ludzi, leżących w gnoju, na barłogach, gorzej niż zwierzęta. Tym to parjasom ludzkości wyszukuje się posady, daje pomoc doraźną, łagodzi cierpienia, wysyłając lub sprowadzając lekarza. Członkami tego nierejestrowanego towarzystwa byli nietylko wyznawcy katolicy, należeli do niego również ewangelicy (przemysłowcy lubelscy p.p. Kijokowie, Morycowie i t. d.).

Ponieważ organizator i kierownik towarzystwa po ukończeniu gimnazjum wyjechał na uniwersytet, ks. Jacek Woroniecki zmienił organizację, przekształcając w legalne katolickie Tow. św. Wincentego à Paulo. Pole do pracy było obszerne. Ileż ugoru leżało odłogiem! Kto chciał mógł podjąć inicjatywę do czynu. Inicjatywa leżała na bruku. Trzeba było mieć tylko serce i oczy otwarte. A te przymioty młodzież posiadała w wysokim stopniu. To nie jej gloryfikacja, to ścisłe przypomnienie faktów. Młodzież nieprzymglonemi oczami widziała z zewnątrz i parzyła też wewnątrz siebie.

Szkoła Staszica powstała w roku 1906 i mogła się w pierwszych latach swego istnienia pochłubić wielu naprawdę żywotnymi organizacjami młodzieży. Wychodziło w roku 1907 pismo uczniowskie, cieszące się niewykłą popularnością, uderzając w ton patriotyczny. Komitet redakcyjny stanowi kol. Zajączkiewicz Józef i Leon, Prądyński, Siepieta, Grzymała i autor. Zorganizowany przez „Wojtkę” (Wojtaszewskiego) chór szkolny był do tego stopnia popularny i doskonały, że nietylko dawał własne koncerty w Lublinie, w sali Towarzystwa Muzycznego, przepelnionej zazwyczaj w czasie koncertu „Lutni”, lecz wyjeżdżał zapraszany na koncerty do Nałęczowa. A te liczne kółka samokształceniowe, jako też i o zadaniach natury etycznej n. p. „Eleuterja”, czyż nie mówią o aspiracjach ówczesnej młodzieży, czyż nie biją w oczy, że wielu ze strejkujących pracowało conajmniej za dwu nad samokształceniem i społecznym. Naturalnie nie ominę faktów, że przy takim rozmach budowniczości popełniali omyłki, niedowarzone wyczyny, że przypisywali sobie zbyt wiele i nieregularnie poważnych kompetencji. O tem mógłby być powiedzieć ś.p. Dyr. Gracjan Chmielewski wiele rzeczy ciekawych, wesołych i smutnych. Szkoła w pierwszych latach swego istnienia przechodziła różne, że tak się wyrażę, kataklizmy. Fala niesforna, żywiołowa fala, rozwiechrzonych umysłów uczniowskich wtargnęła w podwoje szkolne, naścież otwarte, niosąc z sobą cały swój bagaż strejkowy Idealne pomysły wymarzonej szkoły. Nic dziwnego. Wyszła z murów więziennej, znieawidzonej szkoły rosyjskiej. Czy należy się dziwić, że pragnęła stworzyć szkołę nową, ucielesnioną ze swych snów i górnych ideałów.

Rozmach wzięwszy z bezwzględnych poczynań strejkowych, zapragnęła przeskakiwać z równą bezwzględnością wszelkie stopnie rozwoju szkolnictwa, nie licząc się z warunkami. Posypały się przeto dezyderaty za dezyderatami. Żądania za żądaniami. Wiece w szkole, na których najczęściej przewodniczył M. Zawadzki, wiece przy współudziale niektórych członków Rady Pe-



dagogicznej. Sprawa udziału przedstawiciela uczniów na Radzie Ped. Głos uczniów przy organizacji szkoły, przy zwalnianiu kolegów od wpisu. Aż się kotłowało! Ale i nauka też szła wcale niezgorzej. Stosunek do nauczycielstwa a w szczególności do dyrektora przeserdeczny. Zarliśmy się w szkole, ale z chwilą gdy jej z zewnątrz grożono, stawaliśmy, jak jeden mąż, w jej obronie. Bezlitosnie odpieraliśmy każdy atak na osobę dyrektora lub któregośkolwiek z profesorów. Solidarność, koleżeństwo, napięte na najwyższy stopień doskonałości. Kolega kolegę wspierał materialnie i naukowo w każdej sytuacji bez wskazań z zewnątrz. Mieliśmy wówczas samopomoc koleżeńską. A braliśmy w bezinteresowności przykład ze swego przeznaczonego dyrektora. On nam przyświecał w wielu momentach życia szkolnego. Zresztą, nie mogę przewlekać zbyt długo opisu stosunków, panujących w szkole Staszica, historia życia jej czeka autora, choć jedynie wykazać, jaką była młodzież w okresie strejku, t. j. po jego wybuchu,

A jaki był poziom naukowy, niech świadczy fakt przyjmowania naszych abiturjentów na uniwersytety francuskie, belgijskie, w Małopolsce, a nawet w Niemczech. I czy były skargi uniwersytetów na wybitne braki tych abiturjentów. A jeśli te braki były, czyż sami nie dopełnialiśmy luk swego wykształcenia. Sporo wychowanków ówczesnych szkół prywatnych polskich ukończyło wyższe studia i dziś zajmuje wybitne stanowiska

*Fr. Dec.*

## DOKUMENTY.

### Kilka aktów i dokumentów z okresu strejku szkolnego w r. 1905 w Lublinie.

Dokumenty poniższe przytaczamy według artykułu kol. Stefana Drzewieckiego p. t. „Strejk w Lublinie”. Artykuł ten został umieszczony w księdze zbiorowej, wydanej przez Związki Nauczycielstwa polskich szkół powszechnych i średnich p. t. „Walka o szkołę polską w 25-lecie strajku szkolnego”. Warszawa 1930.

Akty te znajdują się w Archiwum Państwowem w Lublinie, jako akty kancelarii gubernatora lubelskiego.

№ 91. Akt kancelarii Lubelskiego Gubernatora o ważniejszych wypadkach w gubernji.

Strejki w zakładach szkolnych miasta Lublina i gubernji, łącznie z aktami № 79. — 1905 r.

Rozpocz. 17 stycznia 1905 roku.  
Zakończ. 22 listopada 1905 roku.

M. O. P.

WARSZ. OKRĘG SZK.

DYREKTOR LUBELSK. GIMN. MĘSK.

17 stycznia 1905 roku.

№ 73.

m. Lublin.

*Do Pana Zarządzającego Gubernją,  
Lubelskiego Wice-Gubernatora W. A. Smirnowa.*

17 stycznia tego roku po drugim dzwonku podczat dużej paury uczniowie starszych klas prócz VIII-ej, bez pozwolenia wyszli z gimnazjum i pociągali za sobą niektórych (chłopców) z klas młodszych. Wyjście uczniów z gimnazjum poprzedziła krótka narada w ustępie na początku dużej paury. Narada została przerwana przez dyrektora gimnazjum, który poprosił uczniów, by niepotrzebnie nie gromadzili się w wspomnianem miejscu. Dyrektor zaproponował uczniom, by zgromadzili się w sali rekreacyjnej, albo żeby weszli do klas celem komunikowania przyczyny lub powodów, które zmusiły albo podnieciły uczniów do takiego postępowania. Lecz, pod wpływem wodzirejów, słowa dyrektora nie wywarły należytego wrażenia i uczniowie, aczkolwiek bez awantur, jednak z hałasem i krzykami opuścili gmach gimnazjum. Rozmowa z uczniem VIII-ej klasy (Krylenkowym) wyświetliła, że tematem narad uczniów było roztrząsanie sprawy: dzisiaj czy jutro należy „zastrajkować”, a niezadowolenie spowodował swem postępowaniem nauczyciel matematyki Bodarewski. Bodarewski w dn. 15 stycznia dał wyraz swemu niezadowoleniu z uczniów kl. V-ej, którzy poskarżyli się na niego panu p. o. inspektora i wychowawcy klasowemu; uczniowie są również niezadowoleni z tego powodu, że — ich zdaniem — grozi surowa kara — wydalenie z gimnazjum niektórym ich kolegom, mieszkającym w internacie, którzy dopuścili się wykroczenia przeciwko regulaminowi. Wykroczenie zaś w internacie polegało na nast.: 15 stycznia wieczorem, kiedy w jadalni internatu zgasł gaz, z polecenia pomocnika wychowawcy p. Ryżkowskiego z górnych pokojów przyniesiono do jadalni lampy syst. „Błyskawica”. Uczeń kl. VIII Swistun, na widok postawionej przed nim lampy, zawołał: „precz z lampą” i zaczął bardzo niegrzecznie rozmawiać z p. Ryżkowskim. Z p. p. o. inspektora Swistun również tegoż wieczora rozmawiał tonem podnieconym. Kiedy uczniowie przeszli z jadalni do pracowni, zaczęli tutaj również gasić lampy i przez jakiś czas (2—3 minuty) siedzieli bez światła.

Następnego dnia, wracając ze spaceru, niektórzy uczniowie kl. IV-ej (Dąbrowski i Konarski) usiłovali kulami ze śniegu powybić szyby w pokoju dozorców (nadziratielskoj), a wieczorem tegoż dnia, kiedy dyrektor z dwoma pomocnikami wychowawców klasowych przechodzili przez podwórko internatu, ktoś trzykrotnie zapukał w szyby. Jak się okazało sprawcami byli: uczniowie — kl. V-ej Kiwerski i kl. VI-ej Trzcziński. Wszyscy wymienieni uczniowie, mieszkający w internacie, jak również niektórzy uczniowie kl. V-ej, winni podburzania kolegów, jeszcze nie zostali ukarani. Przypuszczenie uczniów, że winni zostaną wydalenii, opiera się, rzecz oczywista, na domysłach, stworzonych przez zamieszanych do sprawy uczniów.



Uczniów, opuszczających gmach gimnazjum, witały osoby przyzwoicie i wytwornie ubrane i uściskami rąk, jak również radosnymi uśmiechami, wyrażały najwidoczniej zadowolenie z powodu tego, co zaszło.

Dyrektor Gimnazjum (—) *W. Szymanowski*  
Sekretarz (—) *P. Milko*

**Żądania uczeni gimnazjum żeńskiego w Lublinie do Dyrekcji Gimn. (z raportu naczelnika Dyrekcji Naukowej do Gubernatora dnia 31-go stycznia st. st.)**

„My młodzież gimnazjum żeńskiego lubelskiego, zważywszy, że szkoła obecna nie odpowiada podstawowym wymaganiom życia narodowego i najniższym wymaganiom pedagogiki, żądamy szkoły polskiej, pod kontrolą polskiego społeczeństwa, do której mają mieć wstęp, czy jako uczennice i uczniowie, czy jako wykładowcy — wszyscy członkowie społeczeństwa polskiego bez żadnych ograniczeń wyznaniowych, stanowych i innych.

Kopja niniejszego została wysłana do Kuratora Okręgu”.

**Żądania uczniów gimn. męskiego, wysłane pocztą do Dyrekcji Gimnazjum.**

„My, uczniowie Lubelskiego Gimnazjum, zważywszy, że:

- 1) wykłady w gimnazjum prowadzone są w obcym dla nas rosyjskim języku.
- 2) szkoła nie odpowiada najskromniejszym wymaganiom pedagogiki, żądamy:
  - I. wprowadzenia polskiego języka do gimnazjum jako języka wykładowego i urzędowego;
  - II. zniesienia ograniczeń procentowych względem uczeni wszelkich wyznań i narodowości;
  - III. Kontroli społeczeństwa nad władzami gimnazjalnymi;
  - IV. zniesienia policyjnego systemu w szkole, t. j. zniesienia inspektorjatu;
  - V. prawa wieców w murach gimnazjalnych.

Uważamy za swój obowiązek donieść, że do chwili zadośćuczynienia naszym żądaniom uczęszczać do gimnazjum nie będziemy, jak również nie będziemy zjawiać się na śledztwo”.

*Uczniowie Lubelskiego Gimnazjum*

Lublin, 19 lutego 1905 r.

Raport Dyrektora o wznowieniu lekcji w Gimnazjum wymienia, że na ogólną liczbę 600 uczniów stawilo się na lekcje 273 — w tem: prawosławnych 110, ewangelików 5, żydów 41, katolików 117 na 400.

Próba wysadzenia Gimnazjum tak została przedstawiona w urzędowym raporcie:

M. SPRAW WEW.

TAJNE.

POLICMAJSTER M. LUBLINA

20 lutego 1905 r.

N. 2799

m. Lublin.

*Do Pana Naczelnika Gubernji Lubelskiej.*

RAPORT.

O godz. 10-ej wieczór 19 lutego kolo gmachu miejscowego gimnazjum męskiego usłyszano wybuch, a następnie spostrzeżono płomień i dym, buchające z okna piwnicy w gmachu gimnazjum. Dokonałem osobiście wizji lokalnej i ustaliłem, że w zamkniętej na klucz piwnicy, do której złożono w przeddzień stare ławki szkolne, nieznanymi złościami zawczasu złożyl dwie blaszanki bezdymnego prochu wagi każda 1 funt. Od jednej z nich został, jak sądzić należy, przeciągnięty lont do okna, przez które lont zapalono, naskutek czego nastąpił wybuch jednej z blaszanek z prochem, a druga blaszanka i trzy butelki benzyny nie wybuchły. Wybuch gmachu nie uszkodził i z ludzi nikt nie ucierpiał. Miejsce wybuchu zbadali eksperci z 8-go Bataljonu Saperów: porucz. Wiktor Petresow i podpor. Ilja Petresow. Pierwszy zauważył wybuch stojkowy Semion Wożański. Pozostała na miejscu blaszanka z prochem i trzy butelki benzyny zabrane zostały przez Naczelnika Zarządu Żandarm., któremu o tym wypadku zakomunikowałem, do rozporządzenia.

O powyższem mam honor zameldować Waszej Ekscelencji, nadmienając, że ekspertyza pozostałej blaszanki wykazała w niej 250 gramów prochu bezdymnego nie wojennego, zmieszanego z opiłkami drzewnymi.

Policmajster Sztabs-kapitan *Ulrich*  
Sekretarz nieczyt.

**Nauczyciel religji**

wyznania rz. - katolickiego  
w gimnazjum męskim  
lubelskiem.

Lublin, d. 21 kwietnia (4 maja)  
1905 roku.

*Do Pana Dyrektora  
Gimnazjum Męskiego Lubelskiego.*

W listopadzie roku ubiegłego (1904) objąłem obowiązki nauczyciela religji rzymsko - katolickiej w Gimnazjum Męskim Lubelskiem.

Skończył się wówczas kwartał. Przyjemnie mi było słyszeć pochlebne opinie pp. wychowawców klasowych o sprawowaniu moich przyszłych wychowanków, którzy stanowili  $\frac{2}{3}$  wszystkich uczniów. Prócz dziecinnych wybryków innych wykroczeń nie zauważono.

Po pięciu tygodniach dobiegl końca i kwartał drugi. Ocena sprawowania uczniów katolików ogólnie



nie dała znakomite wyniki. Postawiono kilka trójek, niewiele czwórek, ale na ogromnej większości cenzur widniały za sprawowanie piątki.

Ja ze swej strony, w ciągu tygodni ubiegłych do świąt Bożego Narodzenia, zdążyłem na lekcjach religii dojść do wniosku, że chociaż nie wszyscy moi uczniowie odznaczają się wybitnymi zdolnościami, i chociaż wielu nie czuje szczególnego pociągu do podręczników szkolnych, to jednak u wszystkich bez wyjątku pod granatowym mundurem lub czarną bluzą bije szlachetne i gorące serce maleńkiego człowieka.

Nie mam zamiaru w tem piśmie urzędowym podawać obszerniej charakterystyki moich wychowanków, ani też drogą analizy psychologicznej doszukiwać się przyczyny wielu zjawisk życia uczniowskiego, tylko pozornie niezrozumiałych. Uważam jednak za swój obowiązek zwrócić uwagę na pewien fakt, którego nie można pominąć przy roztrząsaniu kwestji szkolnej, powstałej zarówno w gimnazjum lubelskim, jak we wszystkich innych gimnazjach.

Mianowicie, kilkakrotnie miałem możność stwierdzić, że moi młodzi rodacy w mundurach uczniowskich, będąc ożywieni szlachetnym uczuciem gorącej miłości do wiary ojczyściej i języka ojczyściego, są jednak dalecy od fanatyzmu religijnego i nacjonalistycznego.

Z licznych przykładów przytoczę jeden.

Jeżeli nie wszyscy pp. wykładowcy, to bardzo wielu z nich, podporządkowując się zapewne jakiemuś okólnikowi, który nie jest mi znany, zachowywało najściślejszą tajemnicę przy stawianiu uczniom w dzienniku klasowym stopni za ich odpowiedzi. W dziennikach zaś uczniowskich wychowawcy wystawiali te stopnie dopiero po upływie tygodnia. W ten sposób chłopiec był pozbawiony możliwości zaspokojenia swojej całkowicie zrozumiałej ciekawości, jaki mianowicie stopień otrzymał za swoja odpowiedź: dwójke, trójke, a może więcej. Chociaż wydaje się to bardzo dziwne i przypomina ciągnięcie loterii, lecz niestety, nie można zaprzeczyć: stopień bardzo często zależy więcej od „widzimisie” wykładowcy, niż od pracowitości i wiadomości ucznia. Według mego głębokiego przeświadczenia — ten „system pięciostopniowy” jest wogóle potwornością pedagogiczną, szkodliwym przeżytkiem. Zwłaszcza zaś niecelowe, jeżeli już nie wprost szkodliwe z punktu widzenia pedagogicznego, jest stawianie stopni z nauki religji. Ocenianie według systemu pięciostopniowego zasad wiary, ożywającej serce dziecka, czy młodzieńca, — jest dla mnie rzeczą poprostu wstrętną. Będąc profesorem seminarjum duchownego w Lublinie, a następnie nauczycielem religji w gimnazjum miejscowym, uważałem niejednokrotnie za rzecz konieczną wszczęcie tego poglądu nawet swoim uczniom. Jednakże przynależało, że nauczyciel nie ma prawa dowolnie zmieniać tego porządku. Lecz skoro nauczyciel jest *obowiązany* stawiać stopnie, to powinien przynajmniej przestrzegać w tej sprawie zasadę sprawiedliwości. Ja osobiście stosowałem taką metodę, że ocenę oznajmiałem głośno, a przez to dawałem odpowiadającemu chłopcu i całej klasie możność szczerego zakwestjonowania, gdybym wypadkowo omylił się nie na korzyść ucznia. Ponadto nigdy nie wahałem się na prośby chłopców łamać tajemnicę kancelaryjnej co do stopni z innych przedmiotów. I oto moi młodzi przyja-

ciele często korzystali z tego, żeby wyświadczyć przysługę koleżeńską uczniowi innej narodowości lub innego wyznania. — „On prawosławny, (luterański, żyd)”, tłumaczyli uczniowie, „ale to dobry kolega i chciałby dowiedzieć się, jaki stopień otrzymał dziś z rosyjskiego języka?”

Czy nie mogę być dumny z takich wychowanków, którzy w koleżce widzą przede wszystkim *dobrego kolege*, w inowiercy przede wszystkim *człowieka*? Nie, nie ich należy oskarżać o fanatyzm religijny, lub narodowy! Zresztą zdaje mi się, że wogóle żaden cokolwiek oświecony człowiek, a tembardziej pedagog z powołania, nie będzie z czystem sumieniem oskarżał uczącej się młodzieży o jakikolwiek fanatyzm. Serce dziecka, czy też młodzieńca w wieku szkolnym — to jeszcze „tabula rasa”. Od wychowawców całkowicie zależy wypisywanie na tej tablicy tylko tego, co, według słów poety, jest „rozumne, dobre, wieczne”. Jednak pisać należy nie zapomocą kija i nie stylem kancelaryjnym. Wierzę, że moje poglądy podziela większość członków personelu nauczycielskiego, lecz rozumiem, że nauczyciel gimnazjalny to przede wszystkim urzędnik państwowy, ściśle stosujący wszystkie paragrafy licznych instrukcyj i okólników. Przeto nie zamierzam nikogo osobiście oskarżać o to, co spotkało później moich wychowanków.

Na samym początku kwartału trzeciego nastąpił wybuch strajku i podanie petycji o prowadzenie wykładów wszystkich przedmiotów w języku ojczystym uczącej się młodzieży. Trzystu Polaków-katolików za to wydano z gimnazjum. Przy wydaniu im świadectw o postępach i sprawowaniu za cały czas pobytu w gimnazjum stopnie ze sprawowania zmniejszono z piątki do trójki, a nawet dwójki. W ten sposób uczeń, otrzymujący w ciągu kilku, niekiedy siedmiu i więcej lat, same piątki ze sprawowania, w rezultacie otrzymał zaledwie trójke, jeżeli nie dwójke. Czy to jest sprawiedliwie? Czyż nie sprawiedliwiejby było zaznaczyć, że przez cały czas pobytu w gimnazjum uczeń prowadził się wzorowo, a teraz zostaje wydalony z zakładu naukowego za takie a takie przestępstwo? Wszak i bez tego zaznacza się w wydawanych świadectwach, że uczeń zostaje wydalony z gimnazjum na zasadzie takiego a takiego paragrafu.

Tak więc, na mocy §18 uczeń jest pozbawiony prawa wstąpienia do innego gimnazjum w tem samym mieście, a według § 19 zabrania się uczniowi uczęszczania do jakiegokolwiek gimnazjum państwowego nietylko w Królestwie Polskim, lecz również w Cesarstwie, w Syberji i na Kaukazie. Czyż tego rodzaju kara nie jest dostateczna i koniecznie należy rzucać cień na nienaganne obyczaje chłopca lub młodzieńca? Ponadto, jeżeli nawet przypuścimy, że uczeń popełnił przestępstwo i to nie bylejakie, lecz wołające o pomstę do nieba, to czy gimnazjum ma prawo karać jednocześnie i rodziców winowajcy — i to w drodze administracyjnej, bez sądu i śledztwa? Właściwie bowiem mówiąc, wspomniany § 18 nakłada dotkliwą grzywnę pieniężną na rodziców, bo zmusza ich do ponoszenia nadzwyczajnych wydatków na utrzymanie syna w innym mieście. Dla człowieka biednego stanie się to oczywiście niemożliwe i będzie on zmuszony wyrzec się marzeń co do zapewnienia swemu dziecku należytego wykształcenia. Sens zaś § 19 jest dla mnie zała niezrozu-



miały. Sądzę, że pozbawić nawet przestępcę możliwości zmazania swej winy — jest samo w sobie ciężkim przestępstwem, obcem kulturze chrześcijańskiej.

A na czemże właściwie polega wina moich wychowanków, uczniów-katolików?

Cała inteligencja rosyjska przez usta swych najszlachetniejszych przedstawicieli zdążyła już wyrazić bezstronny sąd o strajkach uczniowskich wogóle, a o zagadnieniu szkolnym w Królestwie Polskim w szczególności. Z wyrazami tego rodzaju opinii nie wolno się nie liczyć: są one bezapelacyjne. Genjusz dziejów stoi na straży ich nietykalności, ku przestrodze przyszłych pokoleń. Ale pedagogów obowiązuje tylko ta „historja”, która uzyskała aprobatę odpowiedniego „komitetu” urzędowego. Wobec tego staje się całkiem naturalne, że przy rozpoznawaniu ostatnich zająć szkolnych zjawil się w charakterze rzeczoznawcy i doradcy, jako rzeczywisty „magister vitae”, historyk łowajski. Nikt nie zaprzeczy, że sprawę prowadzono sumiennie. Zdemaskowano nietylko „motylki, bączki, robaczki, muszki, karaluszki”, lecz nawet „boże krowki” mniejsze niż szpilek główki”. Ale w tych poszukiwaniach „podżegaczy zewnętrznych i wewnętrznych” (według recepty łowajskiego, w dzień jasny wśród błonia przeoczono słonia\*\*).

Tymczasem, jeżeli już jest mowa o podżegaczach, to nie można pominąć samego wielce czciwego historyka - rzeczoznawcy. Nikt inny nie umiałby tak pięknie i pociągająco przedstawić wrażliwym umysłom młodzieży wszystkich ponęt fanatyzmu religijnego i nacjonalistycznego, jak to czynił właśnie łowajski na każdej stronicy swoich podręczników.

Chociaż „exempla trahunt”, lecz dowiodłem, że moi uczniowie nie zdążyli jeszcze przesiąknąć fanatyzmem, ani religijnym, ani nacjonalistycznym. Na nich większy wpływ mógł wyrzucić inny historyk.

Programy gimnazjalne, jak wiadomo, wymagają, żeby uczniowie Polacy narówni z innymi uczniami rozstrząsali rozprawę Karamzina: „O miłości ojczyzny i o dumie narodowej”.

Tu oni między innymi czytają: *„Zdaje mi się, że jesteśmy zbyt pokorni w myślach o swojej godności narodowej, a pokora w polityce jest szkodliwa. Kto bowiem sam siebie nie poważa, tego niewątpliwie i inni poważać nie będą”*,

I dalej: *„Język ojczysty jest dla patrioty sprawą wielką. Lubię Anglików za to, że wołają świątą i syczeć po angielsku, niż mówić obcym językiem, choć znanym prawie każdemu z nich”*.

\*) Cytaty ze słynnej bajki Kryłowa p. t. „Ciekawy” („Lubopytnyj”) — (Przyp. red.).

Wszak te poglądy autorytatywnego patrioty rosyjskiego, w myśl polecenia zwierzchności szkolnej, wszczepiali dzieciom nauczyciele-rosjanie na lekcjach języka rosyjskiego. A więc uczniowie postąpili zupełnie słusznie i legalnie, jeżeli postanowili prosić władzę wyższą o pozwolenie stosowania w praktyce tego, co obowiązani byli wykuwać w teorji. W przeciwnym razie oni, według przytoczonych słów Karamzina, samiby siebie nie poważali i nie mieliby prawa liczyć na to, że ich „inni poważać będą”. Tak dyktują prawa logiki, a decyzje rady pedagogicznej nie powinny mijać się z logiką.

Wbrew oczekiwaniom stało się inaczej.

Szczerze wolałbym podzielić dołę moich wydalonych wychowanków i zrezygnować z prefektury, ale nie miałem prawa porzucić powierzonego mi posterunku bez zgody władzy duchownej. Prowadząc w dalszym ciągu lekcje religji, przekonałem się, że zaledwie kilkudziesięciu chłopców przychodzi do szkoły, przytem większość czyni to pod przymusem, wbrew własnym chęciom. Przyczyna tkwi w tem, że rodzice chłopców-katolików, uczęszczających do szkoły, są to przeważnie urzędnicy państwowi. Zagrożono im dymisją, jeżeli ich dzieci opuszczą gimnazjum. I oto nieszczęśliwa dziatwa codziennie rano śpieszy „dobrowolnie” do gimnazjum, spotykając się po drodze z ogólnem oburzeniem.

Zrozumieć nie mogę takiej polityki pedagogicznej, czy też pedagogiki politycznej. Zdaje się, że wogóle niema prawa, zmuszającego rodziców posyłać obowiązkowo dzieci do szkoły. Co zaś się tyczy gimnazjów, przecież do ostatnich czasów były one niedostępną twierdzą, do której dostępu broniły „wilcze doły” w postaci wszelkich egzaminów wstępnych, przytem uczniowie bez szczególnych trudności mogli otrzymać w każdym czasie krzyżyk na drogę. Czemuż więc i teraz nie zwolnić życzących sobie tego, ale bez wszelkich niesprawiedliwych następstw, połączonych z krzywdą dla ich rodziców? W przeciwnym razie należy obawiać się, że tego rodzaju „dowolne” uczęszczanie do gimnazjum uczniów-Polaków, może zabójczo oddziaływać na ich zdrowie.

Ich rozstrój nerwowy wzmagają się z dniem każdym. Nie wiem, kto, odpowiadać będzie przed Bogiem, jeżeli jeden lub drugi skończy pomieszeniem zmysłów albo samobójstwem. Lecz wiem, że moje własne sumienie nie pozwala mi być obojętnym widzem zjawisk tak oburzających.

W tych więc warunkach nie uważam dla siebie za możliwe zajmowanie dłużej stanowiska nauczyciela religji katolickiej w gimnazjum.

*Ksiądz Adam Pieńkowski*

nauczyciel religji w Gimnazjum Męskiem Lubelskiem, uprzednio uczeń tegoż gimnazjum do klasy siódmej włącznie.







